

Troska o miejsce pamięci narodowej



**Ojczyzna to
ziemia i groby**

**X Jubileuszowa
Gala Przedsiębiorczości**

**Przyjacielskie Góry
Skaliste
i nie tylko...**

**Odnaleziony dzwon
z kaplicy w Sowlinach**

**To już 70 lat
- rocznica powstania
Liceum Ogólnokształcącego**

**Lata okupacji uczyniły
mnie dorosłym,
dojrzałym młodzieńcem**

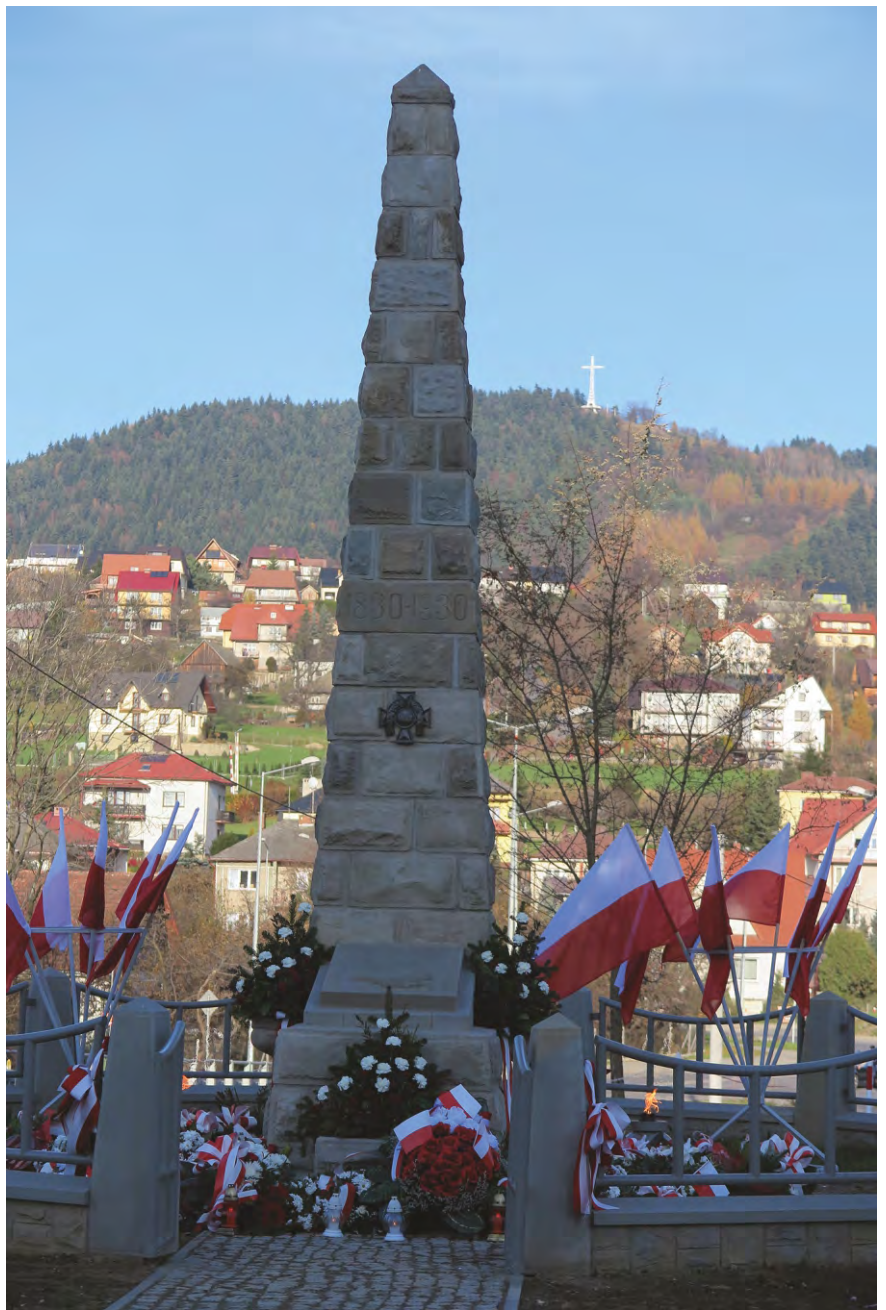
**Stan czuwania
na bastionie „Wilga”**

**Pieczęcie
starostwa limanowskiego
z przełomu XIX i XX wieku**



Narodowe Święto Niepodległości 11 listopada 2014

Fotografie: Stanisław Ociepka



Ojczyzna to ziemia i groby

Program obchodów 96. rocznicy Święta Niepodległości w Limanowej wypełniony był przez kilka wydarzeń. 7 listopada po uroczystej Mszy św. odbył się apel poległych przy pomniku Legionistów w Łososinie Górnej, dzielnicy Limanowej.

W przeddzień Święta Niepodległości 10 listopada w Limanowskim Domu Kultury miała miejsce uroczysta sesja Rady Miasta, na którą złożyło się wystąpienie okolicznościowe Ireny Grosickiej przewodniczącej Rady Miasta Limanowa (wystąpienie publikujemy poniżej), wręczenie odznaczeń miejskich oraz część artystyczna przygotowana przez uczniów Zespołu Szkół Samorządowych nr 3 w Limanowej, a także koncert pieśni patriotycznych w wykonaniu czterech chórów limanowskich.

Obchody 96. rocznicy Święta Niepodległości w scenerii kilkunastu sztandarów, instytucji zakładów pracy i szkół oraz licznej grupy limanowian, rozpoczęły się na limanowskim rynku inscenizacją wjazdu Marszałka Józefa Piłsudskiego w wykonaniu Grupy Rekonstrukcji Historycznej z Limanowej. Idea tej rekonstrukcji zrodziła się z historii bojów Legionów na Podhalu i Limanowszczyźnie, a także pobytu Józefa Piłsudskiego w Limanowej.

Następnie uroczyste wciągnięto na maszt flagę narodową oraz odczytano apel poległych.

Ta część obchodów została zakończona barwnym symbolicznym akcentem: wypuszczeniem biało-czerwonych baloników.

W zwartej kolumnie ulicą Matki Boskiej Bolesnej przemaszerowano pod pomnik Nieznanego Żołnierza wzniesiony w 100. rocznicę Powstania Listopadowego, który po 17 latach powrócił na swoje historyczne miejsce, obecnie rondo przy zbiegu ulic: Targowej, Matki Boskiej Bolesnej i Moniuszki. Przed pomnikiem wartę honorową wystawili harcerze z drużyny „Dzieci Gór” Związku Harcerstwa Polskiego z Zespołu Szkół Samorządowych nr 1 w Limanowej. Pomnik po rekonstrukcji dokonanej w roku 2014 został poświęcony, a delegacje miejskich instytucji, zakładów pracy, urzędów, szkół oraz stowarzyszeń złożyły kwiaty przy pomniku. Po tej uroczystości kolumna skierowała się do limanowskiej bazyliki, gdzie została odprawiona Msza św. w intencji Ojczyzny pod przewodnictwem proboszcza ks. dr. Wiesława Piotrowskiego, który wygłosił homilię. ►



**Ojczyzna to ziemia i groby.
Narody, tracąc pamięć, tracąc życie**

Kardynał Stefan Wyszyński

► *Historia własnej miejscowości czy regionu jest najlepszym fundamentem do utrwalania świadomości narodowej i budowania poczucia jedności państwowej Polaków. Spójrzmy więc dziś na dzieje Ojczyzny w wymiarze lokalnym.*

Tak mówiła Irena Grosicka, przewodnicząca Rady Miasta Limanowa, na uroczystej sesji zwołanej w przeddzień 96. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

Dalej stwierdziła:

Narodowe Święto Niepodległości obchodzone jest na pamiątkę wydarzeń w 1918 roku. Świętujemy je 11 listopada. W miesiącu szczególnego czasu refleksji nad przemijaniem, zadumy nad losami Ojczyzny - jej przeszłością, teraźniejszością i przyszłością.

Niedawno porządkowaliśmy groby naszych bliskich zmarłych, modliliśmy się, zanosiliśmy kwiaty, paliliśmy znicze. Zapalaliśmy także światełka na mogiłach nieznanym żołnierzom w kwaterze wojskowej na parafialnym cmentarzu limanowskim oraz na licznych na naszej ziemi cmentarzach, gdzie spoczywają Ci, którzy nigdy nie wrócili do swoich domów i rodzin, bo z dala od nich oddali życie za ojczyznę. W ten sposób wyrażaliśmy pamięć o przeszłych pokoleniach.

Wiemy i pamiętamy, że Polacy nie dostali niepodległości za darmo. Choć państwo przestało istnieć, naród nigdy nie poddał się i nie zrezygnował z dążenia do niepodległego bytu. Przez okres 123 lat niewoli podejmowanych było wiele zrywów niepodległościowych, których celem było odzyskanie wolności.

Już w 1794 roku wybuchło powstanie przeciwko zaborcom pod wodzą Tadeusza Kościuszki i chociaż upadło, dało początek kolejnym próbom.

W noc listopadową 1830 roku ruszyli młodzi kadeci pod wodzą Piotra Wysockiego na Belweder. Był to początek powstania listopadowego wymierzonego przeciw największej potędze militarnej Europy – Rosji. Polacy o zdecydowanie mniejszej armii, toczyli nierówne, ale jakże często zwycięskie walki z żołnierzami carskimi. Zryw listopadowy zakończył się klęską, zapanował terror, prześladowania i zsyłka na Syberię. Musieli wtedy uciekać z Polski albo już



W czasie uroczystej sesji Rady Miasta, proboszcz parafii limanowskiej ks. dr Wiesław Piotrowski odebrał tytuł i medal „Honorowy Obywatel Miasta Limanowa” nadany pośmiertnie ks. bp. Piotrowi Bednarczykowi.

nie mogli do niej powrócić z zagranicy ci, którzy stworzyli Wielką Emigrację – Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Lelewel.

Powstanie, chociaż nie przyniosło upragnionej wolności dla Polski, stało się symbolem wiary w sens dążeń do odrodzenia Ojczyzny.

W roku 1863 wybuchło największe z polskich powstań narodowych – styczniowe. Przez szeregi powstańczej armii przewinęło się blisko 200 tysięcy osób, ale i ono nie przyniosło upragnionej wolności, a na Sybir ruszyły kolumny zesłańców w kajdanach.

Po upadku powstania styczniowego trzeba było czekać pół wieku na kolejną możliwość podjęcia walki o niepodległość.

W sierpniu 1914 roku wybuchła I wojna światowa, która ogarnęła niemal całą Europę.

Każda wojna jest złem! Jednakże, gdy dla nas i świata rozpoczynała się straszliwa wojna, dla Polaków jako narodu, zaczynał się najważniejszy etap drogi do odzyskania niepodległości.

Już w pierwszych miesiącach I wojny światowej polski żołnierz walczący w armiach zaborczych i samodzielnych oddziałach Legionów Józefa Piłsudskiego, stanął do walki, której zwieńczeniem miała być wolna Polska. Jednym z bojów na szlaku do tego zwycięstwa była bitwa przeciwko wojskom rosyjskim na wzgórzu Jabłoniec.

Na 80 cmentarzach żołnierskich z tego okresu leży według źródeł austriackich - 10826 poległych. Walki przyniosły ogromne straty materialne.

Jedną z najwybitniejszych postaci historii Polski XX wieku jest marszałek Józef Piłsudski (1867-1935), któremu kraj w dużej mierze zawdzięcza odzyskanie utraconego na dziesięciolecie państwa.

Jego osoba związana jest z Limanowszczyzną licznymi więzami. W roku 1913 Piłsudski bywał w Stróży koło Skrzydlnej. W tym czasie odwiedzał także w Limanowej Józefa i Bronisławę Beków, a w okresie działań wojennych w grudniu 1914 roku przebywał w wielu miejscowościach powiatu limanowskiego z 2 tysięcznym oddziałem Legionów.

Pierwsza wojna światowa, w wyniku której klęskę poniosły trzy zaborcze monarchie, przyniosła Polsce długo oczekiwaną wolność, a koniec zmagani wojennych oznaczał początek II Rzeczypospolitej.

W dniu 31 października 1918 roku Polacy zaczęli wypędzać zaborców z Galicji.

W Limanowej, kapral Józef Joniec z 2. pułku Legionów, późniejszy zasłużony kapłan i kapelan spod Tobruku i Monte Casino, z kilkunastoma chłopcami ćwiczył musztrę wojskową na Siwym Brzegu i zapoznawał ich z bronią. Na polecenie dowództwa okręgu w Krakowie opracowano plan rozbrojenia załogi stacjonującej w budynkach rafinerii nafty, a pilnującej pracujących tam jeńców wojennych. Do działania przystąpili późnym wieczorem 31 października na sygnał dany z Krakowa. Józef Joniec wraz z legionistą kpr. Franciszkiem Jabruckim z Sowlin i kilkoma chłopcami rozbroili komendanta posterunku żandarmerii, wachmistrza Kozdronia, którego pozyskali do swych

dalszych działań. Ten przekonał swoich podwładnych, z którymi udał się do rafinerii. Jako patrol żandarmerii weszli do środka i rozbroili załogę austriacką. Uwolniono około 800 jeńców, którzy natychmiast wyjechali z Limanowej.

W dzień Wszystkich Świętych na ulicach miasta widoczny był już rzeczywisty koniec panowania austriackiego. Legioniści odrywali żołnierzom różyczki z czapek i inne oznaczenia cesarsko-królewskiej armii. Dowództwo nad Polską Organizacją Wojskową w Limanowej i rafinerią objął mjr Jan Jakubowski. W rafinerii w Sowlinach uruchomiono punkt werbunkowy do polskiej armii, ale jeszcze przez kilkanaście dni panowało spore zamieszanie związane z przemieszczającymi się żołnierzami w austriackich mundurach. Stopniowo mieszkańcy oswajali się jednak z widokiem polskich emblematów i uniformów. Oddział formowany w Sowlinach, prócz codziennych ćwiczeń, wziął też udział w uroczystej mszy św. odprawionej w kościele parafialnym z okazji rocznicy wybuchu powstania listopadowego.

Z niewielkiej grupki w ciągu miesiąca utworzyła się kompania powiatowa, licząca około 240 ludzi, która stała się załącznikiem II Pułku Strzelców Podhalańskich.

Mieszkańcy Limanowej urządzali swoją niepodległość. Borykali się z problemami gospodarczymi i politycznymi, ale już we własnym, polskim państwie.

W 1930 r., czerpiąc z ideałów powstania listopadowego, po 100 latach od jego wybuchu, nasi dziadowie i ojcowie skupieni wokół gniazda limanowskiego „Sokoła”, na czele z ks. prałatem Kazimierzem Łazarskim, zdecydowali o wybudowaniu monumentu wyrażającego wdzięczność nieznanemu polskiemu żołnierzowi, który w różnym czasie naszej historii, na różnych frontach walczył o niepodległą Polskę.

Obecnie patriotyzm nie wymaga od nas ofiary życia, ale powinien objawiać się szacunkiem do symboli narodowych, języka polskiego i historii. Duma narodowa, pamięć o trudnej i niejednokrotnie tragicznej bolesnej historii Polski nakazuje nam wyrażać swój sprzeciw wobec przejawów zakłamania, pomniejszania znaczenia tragicznych wydarzeń i przekręcania faktów historycznych. Dzisiaj pamięcią otaczamy żołnierzy, którzy ginęli, walcząc o odzyskanie niepodległości, a ich mogiły rozsiane są po całym świecie.

Dlatego w przeddzień Święta Narodowego pragnę wyrazić wdzięczność tym wszystkim, którzy, po 17 latach nieobecności, doprowadzili do powrotu na swoje historyczne miejsce, u zbiegu ulic Matki Boskiej Bolesnej i Targowej, pomnika - symbolu wyrażającego szacunek dla pamięci „Niezananego Żołnierza”.

Kończąc pragnę przywołać kilka krótkich myśli na temat pomnika wypowiedzianych współcześnie przez osoby, którym bliskie jest dziedzictwo narodowe.

(...) Prosty i wymowny w kształcie obelisk znów będzie przypominał mieszkańcom i osobom odwiedzającym miasto, że społeczeństwo Limanowej doceniało zrywy narodowe i ofiarę krwi złożoną w walce o niepodległy byt naszego narodu (...).

(...) Już jako dziecko, przechodząc w pobliżu wąską uliczką, czułem w tym kamiennym obelisku majestat i powagę, jaka roztaczała się wokół Niego i ściągałem z głowy czapkę, tak jak to czyniłem, przechodząc koło przydrożnej kapliczki albo kościoła (...).

(...) Dobrze się stało, że pomnik powrócił, że wróciło poszanowanie nie tylko dla tradycji, ale pamięć o przeszłych pokoleniach (...).

(...) Obelisk ma wymiar symboliczny. Jest jak powstaniec u rozstajnych dróg. Współczesny człowiek jakże często wstępuje na rozstajne drogi i doświadcza dylematu, w którą stronę podążać. Może więc będzie to miejsce refleksji i zadumy (...).

(...) Nie mamy innej możliwości podziękowania Zmarłym za ich poświęcenie jak nadanie trwałego wyrazu naszej pamięci, który pięknie realizuje się w ufundowaniu pomnika (...).

(...) Pomnik limanowski odczytać można w kategoriach uniwersalnych: chrześcijańskich i europejskich, jako wyraz pamięci o żołnierzach wszystkich narodów, spoczywających często w bezimiennych mogiłach (...).

(...) Odtworzenie pomnika Niezananego Żołnierza to ślad pozostawiony na kolejne dziesięciolecia jako dowód naszej wolności na początku XXI wieku i dalekowzroczności myślenia obywatelskiego mieszkańców miasta, którzy równocześnie zachowali pamięć i szacunek dla jego historii (...).

(...) Pomnik Niezananego Żołnierza powrócił na dawne miejsce. Cieszymy się z Jego powrotu, ochraniajmy i szanujmy Go. Bądźmy z Niego dumni, tak jak dumni byli z niego nasi ojcowie, stawiając go w tym miejscu w 1930 roku (...).

Niech więc wyrazem, naszej pamięci, wdzięczności i głębokiego szacunku, wobec dokonania ojców i dziadów, będzie zaduma i cisza w ten listopadowy dzień.

A jutro pójdźmy w radosnym marszu, okażmy radość i wdzięczność, składając hołd naszym przodkom za najcenniejszy dar, jakim jest wolność.

Materiał przygotował:
Stanisław Ociepka



Licznie zgromadzeni mieszkańcy Limanowej na rynku w czasie obchodów Święta Niepodległości.

Herosi Biznesu

Rodzinna firma WRONA sp. j.

Stanisław Ociepka

Historia organizacji Światowego Tygodnia Przedsiębiorczości sięga 2008 roku. Uczestniczy w nim ok. 150 państw. Jest to ruch społeczny o zasięgu globalnym, który ma na celu utworzenie środowiska aktywnie wspierającego przedsiębiorcze postawy i kreatywne inicjatywy młodych ludzi. Rokrocznie, przez jeden tydzień listopada, rzesze uczestników tego przedsięwzięcia na całym świecie uczestniczą w szkoleniach, warsztatach, konferencjach, spotykają się z przedsiębiorcami, przedstawicielami instytucji wspierających biznes, gotowych do dzielenia się wiedzą i zdobytym doświadczeniem.

W roku 2014 Limanowa była jednym z 18 miast w województwie małopolskim, gdzie 17 listopada zorganizowana została piąta edycja Światowego Tygodnia Przedsiębiorczości pod hasłem „*Bo przedsiębiorczość ma wiele twarzy*”. W naszym mieście organizacja tego przedsięwzięcia podjęła się rodzinna firma WRONA sp. j.

W Małopolsce głównym organizatorem wydarzeń związanych ze Światowym Tygodniem Przedsiębiorczości został Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego – Departament Rozwoju Gospodarczego. Partnerem zaś była Kongregacja Kupiecka Zrzeszenie Prywatnego Handlu i Usług z siedzibą w Nowym Sączu, którą na obchodach Światowego Tygodnia Przedsiębiorczości w Limanowej reprezentowali Józef Pyzik – prezes oraz Andrzej Jabłoński i Jerzy Wrona – wiceprezesi.

Z podstawowych założeń ruchu wynika, iż spotkania związane z obchodami Światowego Tygodnia Przedsiębiorczości skierowane są przede wszystkim do ludzi młodych.

Tak więc organizator limanowskich obchodów, Firma Gastronomiczno-Handlowa WRONA sp. j., zaprosił przedstawicieli młodzieży szkół z Limanowej kształcących się w branży handlowej. Była to młodzież: Zespołu Szkół nr 1 im. Józefa Piłsudskiego oraz Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych im. ks. Józefa Tischnera.

W ramach tego wydarzenia zaprezentowana została historia i działalność rodzinnej firmy WRONA sp. j., którą przedstawił Jerzy Wrona, właściciel przedsiębiorstwa.

Na temat „Polska na tle Unii Europejskiej – szansa młodych” mówił Ryszard Skwarczek, prezes Spółdzielni Pracy „Piwniczanka”.

Odbyły się również warsztaty szkoleniowe w zakresie rynku wód mineralnych, źródłanych, leczniczych, stołowych – prowadzone przez przedstawicieli producentów tych wód. Następnie młodzież pod przewodnictwem kierowników poszczególnych działów firmy zwiedziła zakład.

Atrakcją dla uczestników była możliwość oglądnięcia mini wystawy, na której pokazano historyczne akcesoria używane w pracy gospodarczo-handlowej firmy na przestrzeni lat. Można było zobaczyć: różnego rodzaju uchylnie wagi, stosowane wówczas reklamy i pouczenia (np. „Uprzejmie i szybko obsługujemy Ludzi Pracy”, „Zgaś zbędną żarówkę”, „Nie pluć na podłogę”), dokumentację księgową, ręczne maszyny do liczenia, pierwsze komputery, a nawet kartki żywnościowe z lat 80. ubiegłego stulecia, itp.

Ciekawie i pouczająco mówił do młodych słuchaczy Jerzy Wrona. Przedstawił on historię rodzinnej firmy. W wystąpieniu m. in. powiedział: *Historia działalności naszej rodzinnej firmy rozpoczyna się w latach okupacji hitlerowskiej, kiedy mój ojciec Michał Wrona ps. „Michaś”, jako 17-letni chłopak był głównym zaopatrzeniowcem oddziałów partyzanckich AK na terenie Limanowczyzny. Poszukiwany przez gestapo musiał ukrywać się do zakończenia wojny. Po wojnie w latach 50. ubiegłego stulecia założył prywatny sklep znany w Limanowej pod nazwą „Szwarc – mydło i powidło”. Sklep ten mieścił się „pod koleją”.*

Trudne czasy stalinowskie, tępienie prywatnej działalności zmusiły go do zaniechania działalności. Po likwidacji sklepu podjął pracę w sektorze spółdzielczym w Limanowej, prowadząc znaną w regionie i nie tylko restaurację „Myśliwska”. Doskonała kuchnia, znakomita obsługa, sobotnio – niedzielne dansingi, na których



Jerzy Wrona prezentuje historię działalności rodzinnej firmy.



Ryszard Skwarczek mówi na temat „Polska na tle Unii Europejskiej – szansa młodych”.

do tańca przygrywała orkiestra „Braci Mordarskich”, a liczne partie solowe wygrywał na skrzypcach Tadeusz Wiktorek czyniły, iż restauracja stała się cenionym zakładem gastronomicznym. Potwierdzeniem tego był rok 1968, kiedy to w ogólnopolskim konkursie gastronomicznym, restauracja ta zdobyła główną nagrodę – „Srebrną Patelnię”. Była to zasługa załogi, a przede wszystkim mojego ojca wieloletniego kierownika i menedżera.

Pracując w spółdzielczości, równolegle w 1960 roku uruchomił pierwszy prywatny hotel – stację turystyczną w Limanowej, który po latach stał się „Domem Wycieczkowym”.

Do dnia dzisiejszego od 54 lat prowadzi ten hotel moja mama, Maria Wrona, która obecnie ma 84 lata i nadal zajmuje się działalnością gospodarczą.

To zapewne bardzo zachęcający przykład wytrwałości dla osób młodych, pomimo że w przeszłości nie zawsze było łatwo. Szczególnie w latach Polski Ludowej, a prowadzenie firmy wiązało się z przewyciężaniem i pokonywaniem wielu trudności. Przeżywali to również moi rodzice. Niech za przykład posłuży wydarzenie dotyczące mojej mamy opisane przez Piotra Wierzbickiego w publikacji zatytułowanej „Kongregacja Kupiecka w Nowym Sączu – zarys historyczno – gospodarczy regionu”. **<Brak silnego wsparcia ze strony samorządu prywatnego handlu na szczeblu lokalnym wykorzystywali urzędnicy państwowi, którzy – jak w przypadku Marii Wrony z Limanowej – w październiku 1973 roku zamykali placówki pod pretekstem zaległości podatkowych i wszczynali postępowanie karno-skarbowe. Właścicielka limanowskiej jadalni podjęła walkę w sądzie, którą wygrała w dwóch instancjach. Wydział Finansowy musiał zgodzić się z interpretacją sądu, który uznał, że oskarżenie jest bezzasadne z powodu niejasnej interpretacji przepisów prawa podatkowego przez urzędników i oddalił oskarżenie.>**

Wracając do historii działalności rodzinnej firmy, należy przypomnieć, że w latach 60. i 70. XX wieku na terenie Beskidu Wyspowego dominowała turystyka piesza w oparciu o PTTK, którego siedziba mieściła się w budynku obok stacji. W kamienicy tej, która ma około 100 lat, w latach międzywojennych był prowadzony hotel przez Żyda Lustiga, a w okresie Polski Ludowej do 1970 r. miejski hotel, dziś jest jednym z budynków naszej firmy, a obok niego powstał nowy kompleks hurtowni.



Młodzież limanowskich szkół kształcąca się w branży handlowej podczas warsztatów szkoleniowych w zakresie rynku wód mineralnych.



Podczas zwiedzania hurtowni firmy FGH WRONA sp. j.



Uczniowie Zespołu Szkół nr 1 im. Józefa Piłsudskiego w pracowni artystycznej „Eufloria”.

► W roku 1970 ojciec uruchomił prywatną słynną kawiarnię „Miś” oraz jadalnię „Pod stacją”, a od roku 1990 powstała hurtownia opakowań jednorazowych, której prowadzenie po jego śmierci w roku 2006 kontynuuje firma FHU „CROW”.

Moja działalność inspirowana przez ojca, a mówiąc inaczej przygoda z handlem, rozpoczęła się 50 lat temu, kiedy jako 9 letni chłopak zająłem się skupem butelek. Zamiłowanie do handlu, gastronomii sprawiło, że dalszą naukę realizowałem w Technikum Hotelarskim w Zakopanem, a następnie studia na Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

Kiedy po ich ukończeniu w 1978 roku zmuszony byłem podjąć pracę, powróciłem do Limanowej, gdzie nadzorowałem budowę, a potem kierowałem działem administracji Limanowskiego Domu Kultury. Praca w kulturze była wielkim wyzwaniem, ale mnie ciągnęło do handlu i gastronomii. Stąd w roku 1982 wstąpiłem do Kongregacji Kupieckiej w Nowym Sączu. Przeszedłem odpowiednie szkolenia i otrzymałem zezwolenie na prowadzenie własnej firmy. Za początek działalności mojej firmy uznaję 5 lutego 1983 r., kiedy we własnej restauracji obsłużyłem pierwszego klienta.

Były to bardzo trudne czasy dla handlu, pomimo że popyt zdecydowanie przewyższał podaż, nie było towaru, wszystko było na kartki. Moja kreatywność i pomysłowość w poszukiwaniu towaru pozwoliła na kontynuację działalności firmy. Wymyślałem nowe potrawy w oparciu o dostępne produkty na rynku i tak na przykład wprowadziłem po raz pierwszy w Limanowej: frytki na wynos; placki ziemniaczane; zapiekanki w oparciu o bagietki wypiekane w kawiarni „Miś”. W roku 1989 jako pierwsza prywatna firma na terenie województwa nowosądeckiego uzyskała w Ministerstwie Gospodarki zezwolenie na obrót hurtowy piwa i wina na terenie kraju. Została rozszerzona działalność firmy o sprzedaż hurtową i detaliczną artykułów alkoholowych i spożywczych pod nazwą FHU „CROW” Limanowa. W 2003 roku poprzednia nazwa firmy zostaje zmieniona na FGH WRONA sp. j. B. Wrona i J. Wrona. Natomiast pod pierwotną nazwą FHU „CROW” od 2006 roku firma prowadzi działalność hurtową i detaliczną artykułów przemysłowych, chemii gospodarczej, opakowań jednorazowych, elementów dekoracyjnych. Żas w roku 2013, firma pod tą samą nazwą poszerzyła działalność o pracownię artystyczną „Eufloria” oraz o grafikę reklamową i usługi w tym zakresie. Należy dodać, że w okresie 30 lat



Mini wystawa akcesoriów używanych w pracy gospodarczo-handlowej w drugiej połowie ubiegłego stulecia.

działalności firmy zostało wyszkolonych ok. 50 uczniów w zawodach: kucharz i sprzedawca. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż jedna z pierwszych uczennic nieprzerwanie od 30 lat pracuje w naszej rodzinnej firmie na stanowisku kucharza.

Właścicielka pracowni artystycznej „Eufloria” dodaje: W naszej pracowni tworzone są nietuzinkowe, oryginalne alejki do kościołów i inne dekoracje okolicznościowe z wykorzystaniem sztucznych kwiatów. W swoich pomysłach nie zapominamy o magii, jaką powinna tworzyć każda dekoracja. Niepowtarzalny nastrój, miła atmosfera, piękno i estetyka to nieodłączne elementy każdej dekoracji. **Stereotyp: „sztuczne kwiaty równa się kicz” już dawno poszedł do lamusa.**

Dziś ekskluzywne sztuczne kwiaty, które w dotyku i wyglądzie niczym nie różnią się od żywych roślin, do złudzenia wiernie je imitują. Kojarzone są również z elegancją i wytwornością.

Ich zaletą jest stale nienaganny i świeży wygląd, a w dodatku nie zwiędną w najważniejszej chwili ekspozycji dekoracji. Bardzo ważną rzeczą jest to, aby kwiaty zawsze wyglądały pięknie i świeżo, wówczas spełnią one swoją estetyczną funkcję.

Ostatnie lata działalności firmy (2009 – 2011), wiązały się z inwestycją nowych obiektów oraz zmaganiem o utrzymanie klienta oraz atrakcyjności firmy w warunkach, gdzie na rynku miejsce drobnego handlu, zajęły sieci handlowe z obcym kapitałem.



W części oficjalnej spotkania zabrał również głos dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy w Limanowej, Marek Młynarczyk, który przypomniał zebranych o licznych wyróżnieniach, jakie firma Jerzego Wrony otrzymała w latach poprzednich, jak również w roku 2014.

Podczas X Jubileuszowej Gali Przedsiębiorczości, która odbyła się 14 października w Limanowskim Domu Kultury, Firma Gastronomiczno Handlowa WRONA sp. j. otrzymała wyróżnienie w kategorii średnie przedsiębiorstwa oraz nominację w kategorii „Pracodawca Roku”. Wyróżnienie to otrzymują firmy, które w sposób szczególnie dbają o tworzenie korzystnych warunków zatrudnienia, a także przyczyniają się do rozwoju lokalnego rynku pracy.

Przebieg limanowskich obchodów Światowego Tygodnia Przedsiębiorczości zorganizowany atrakcyjnie i w ciekawej formie przez firmę FGH WRONA sp. j. był przeżyciem dla młodych ludzi, którzy licznie uczestnicząc w tym wydarzeniu, mieli świetną praktyczną lekcję uczenia się podstaw przedsiębiorczości.

Fotografie: Stanisław Ociepka

Tętni życiem, rozbrzmiewa muzyką

45 lat Państwowej Szkoły Muzycznej im. Grażyny Bacewicz w Limanowej

Był rok 1953, gdy z sal dawnego budynku „Sokoła” po raz pierwszy popłynęły dźwięki znanych melodii. Czterech limanowian, ludzi kochających muzykę: Ludwik i Mieczysław Mordarscy, Roman Szumilas i Stanisław Kita założyło Społeczne Ognisko Muzyczne. Dziesięć lat później, dzięki staraniom Mieczysława Mirka, pierwszego dyrektora nowosądeckiej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina powstała w Limanowej jej filia. W 1966 r. szkoła otrzymała własny budynek przy ul. Kościuszki. Wreszcie, w 1969r. stała się samodzielną Państwową Szkołą Muzyczną I Stopnia.

Od tamtej chwili upłynęło już 45 lat. Zmieniali się uczniowie, kadra nauczycielska, nowe oblicze przyjął wygląd budynku. Ale muzyka nieprzerwanie rozbrzmiewa w jego murach...



Wincenty Curzydło - dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej w Limanowej.

To już 45 lat...

W wydawnictwie okolicznościowym, poświęconym 40-leciu szkoły, znajduje się zapis na temat pierwszych lat działalności. W początkowym okresie w filii uczyło się 30 uczniów w klasach fortepianu, skrzypiec, klarnetu, trąbki i akordeonu. Kadra składała się w większości z nauczycieli dojeżdżających z Nowego Sącza. Doskwierały trudne warunki lokalowe, które rekompensował entuzjazm uczących, młodzieży oraz rodziców. O przeszłości szkoły, jej twórcach, sławnych nauczycielach i uczniach pisałam 5 lat temu – zainteresowanych odsyłam do artykułu „Zabrzmiała melodia wspomnień” w „Echu” (nr 184-185, styczeń – luty 2010).

Obecny wizerunek szkoły to wyremontowany, rozbudowany budynek z dobrze wyposażonymi salami oraz instrumentami wysokiej klasy. Dziesięciokrotnie zwiększyła się liczba uczniów, choć nadal ilość miejsc jest zbyt mała w stosunku do liczby kandydatów, starających się o przyjęcie do szkoły. Placówka posiada świetną kadre nauczycielską, którą tworzą w dużym stopniu jej absolwenci. *Największym sukcesem ostatnich lat są osiągnięcia młodzieży, będące wynikiem pracy nauczycieli* – mówi dyrektor Wincenty Curzydło, pełniący tę funkcję

od 2002 roku. *Aby osiągnąć poziom nauczania porównywalny z dużymi ośrodkami, organizujemy w szkole warsztaty dla kadry i uczniów, na które zapraszamy nauczycieli akademickich. Sposób nauczania gry na instrumentach ulega zmianom, podobnie jak technika gry, trzeba iść z duchem czasu. Nasi nauczyciele wykrzystują te wskazówki w pracy z uczniami. Są otwarci, nie obawiają się zmian. Poświęcają swój czas na dodatkowe zajęcia, aby przygotować młodzież do konkursów.* Od 1986 roku szkoła jest organizatorem Regionalnego Przeglądu dla Uczniów Klas Skrzypiec, Wiolonczeli i Gitary, co także podnosi jej prestiż w środowisku muzycznym. Współpracuje ze Szkołą Muzyczną w Hilpolstein (o wspólnym przedsięwzięciu – wystawieniu dziecięcej opery „Brundibar” pisaliśmy w „Echu”).

Wysoki poziom kształcenia potwierdzają dziesiątki nagród i wyróżnień w konkursach. Uczniowie limanowskiej PSM, o czym mówiła z uznaniem podczas uroczystości jubileuszowych wizytator CEA Regionu Krakowskiego Jolanta Chliszcz, reprezentują Małopolskę w przeglądach ogólnopolskich.

Od lat niezmiennie pozostają: przyjazna atmosfera, troska o uczniów, wyrozumiałość wobec ich indywidualności,

cierpliwość w rozwijaniu talentów oraz miłość do muzyki, wypełniającej szkolne sale i korytarze.

Muzyczne świętowanie

Jubileusz 45-lecia świętowano w dniu 22 października br. w szkolnej sali koncertowej. Przybyli reprezentanci władz samorządowych Miasta, Gminy i Powiatu, wizytator CEA Regionu Krakowskiego Jolanta Chliszcz, prezes Towarzystwa Muzycznego w Nowym Sączu Wiesław Zabierowski, dyrektorzy zaprzyjaźnionych szkół muzycznych w Nowym Sączu, w Dobrej i w Gorlicach, przedstawiciele LDK i dyrektorzy szkół limanowskich. W imieniu Posła RP Wiesława Janczyka gratulacje i życzenia złożył dyrektor biura poselskiego Wojciech Włodarczyk. Szczególnie ciepło przywitano gości honorowych - emerytowanych nauczycieli szkoły: p. Annę Król, p. Małgorzatę Mordarską, p. Genowefę Muchę, p. Władysława Kożę i p. Władysława Odziomka.

Wszyscy obecni gratulowali dykcji i nauczycielom wielu osiągnięć oraz podkreślali ogromne znaczenie szkoły w środowisku limanowskim. Występy uczniów stanowią oprawę muzyczną wie-
lu uroczystości, a koncerty dla młodzieży ▶



Jolanta Chliszcz, wizytator Centrum Edukacji Artystycznej Regionu Krakowskiego.



Nauczyciele i absolwenci szkoły muzycznej w Limanowej.



Uczestnicy Jubileuszu 45-lecia Państwowej Szkoły Muzycznej im. Grażyny Bacewicz w Limanowej.

szkolnej i mieszkańców pozwalają odkrywać piękno muzyki. Absolwenci PSM powracają w rodzinne strony jako nauczyciele, muzycy orkiestr czy założyciele i soliści chórów. Składającym życzenia nie zabrakło też poczucia humoru; przewodniczący Rady Rodziców Bolesław Garncarz próbował zdefiniować pojęcie tak nieuchwytnie jak muzyka... przy pomocy Wikipedii.

Świadectwem docenienia pracy pedagogicznej były liczne nagrody i dyplomy wręczone podczas uroczystości nauczycielom. Dyrektor szkoły Wincenty Curzydło otrzymał Nagrodę II Stopnia przyznaną przez dyrektora CEA za szczególny wkład w rozwój edukacji w Polsce. Dyplomami Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego wyróżniono nauczycieli: Renatę Czaję, Renatę Biernat, Halinę Dyczek, Edytę Lachor-Mitkowską, Pawła Moszyckiego, Marię Skrzyszewską, Elżbietę Szymochę, Iwonę Śliwę i Sławomira Szymochę. Nauczyciele otrzymali również dyplomy od Burmistrza Miasta Władysława Biedy oraz Nagrody Dyrektora, przyznane z okazji Święta Edukacji.

Podczas święta muzyki nie mogło zabraknąć jej samej – w porywającym wykonaniu absolwentów szkoły limanowskiej: Agaty Podchorodzieckiej (fortepian), Krystiana Curzydło (skrzypce), Sylwii Zelek (śpiew) i duetu akordeonowego - Marcina Szewczyka i Karola Grzeszczuka. Uroczystość zakończyło spotkanie towarzyskie, które stało się okazją do wspomnień oraz do układania planów na przyszłość.

W rozmowie przeprowadzonej pięć lat temu, z okazji 40-lecia szkoły dyrektor Wincenty Curzydło wspominał o zamiarze utworzenia w Limanowej Szkoły Muzycznej II stopnia. *Wtedy to były marzenia, dziś przybierają one realny kształt* mówi nawiązując do tamtej wypowiedzi. *Rozważamy możliwość utworzenia szkoły samorządowej. Mamy odpowiednie warunki lokalowe, dobrze wykształconą kadrę, zasób instrumentów. Szkoła ta byłaby szansą na dalszą edukację muzyczną dla uzdolnionej młodzieży, która nie ma warunków, aby kształcić się w dużych ośrodkach. Mamy też możliwość zapewnić wysoki poziom nauczania.*

Fotografie: arch. szkoły

Z okazji 45-lecia Redakcja „Echa Limanowskiego” składa serdeczne gratulacje Dyrekcji i Nauczycielom, życząc podobnych sukcesów w następnych latach oraz rozwoju placówki.

Troska o miejsce pamięci narodowej

Stanisław Ociepka



Cmentarz na wzgórzu Jabłonec - 1917 rok.

W miesiącu wrześniu ubiegłego roku rozpoczął się remont konserwatorski cmentarza wojennego nr 368 na wzgórzu Jabłonec w Limanowej. Odnawianie cmentarza ma przebiegać w dwóch etapach. Etap pierwszy został zakończony w listopadzie 2014 roku i obejmował prace związane z odczyszczeniem i uzupełnieniem ubytków kamiennego muru ogrodzeniowego od wewnątrz i zewnątrz. Dokonano konstrukcyjnych napraw muru, odczyszczono i uzupełniono nakrycia betonowe, wymieniono pokrycie zadaszenia kaplicy u podstawy kopuły, przeprowadzono konserwację elementów wewnętrznych cmentarza wraz z naprawą alejek i rekonstrukcją elementów brakujących, a także przeprowadzono konserwację pomnika Thuna. Wykonawcą remontu były krakowskie firmy: Konserwacja i Rekonstrukcja Detali Architektonicznych Włodzimierza Drabczyńskiego oraz Kamieniarstwo Budowlane „Kamimar” – s.c., firma ta wykonała kamienną tablicę informacyjną.



Powyżej: Zniszczony, oryginalny krzyż z kaplicy Muhra, obecnie przechowywany w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.

Obok: Krzyż wg. projektu Marka Sawickiego odtworzony przez firmę „Maweda” Tomasza Soltysa. Krzyż został zamontowany na kopule kaplicy Muhra 28 października 2014 r.



Jedną z trudniejszych i bardziej skomplikowanych prac remontowych tego etapu było odtworzenie krzyża na kaplicy – mauzoleum płk. Othmara Muhra. Wszystkie prace związane z renowacją tego cmentarza zostały sfinansowane przez Małopolski Urząd Wojewódzki w Krakowie, a także stronę węgierską (50%), bowiem zostało podpisane polsko – węgierskie porozumienie dotyczące pierwszego etapu remontu cmentarza. Drugi zaś etap remontu cmentarza będzie przeprowadzony do września 2015 r.

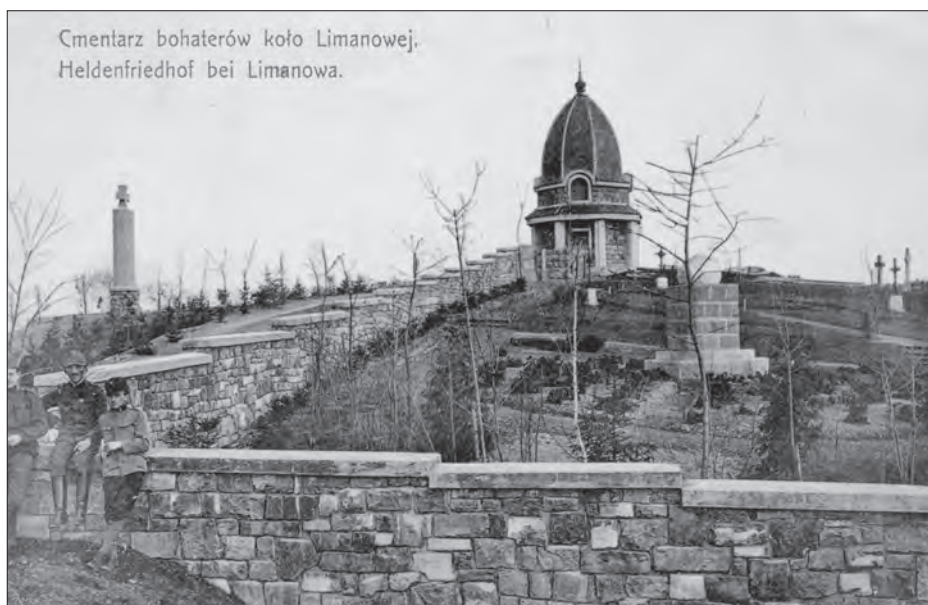
Powracając do krzyża na kopule kaplicy, należy zdać sobie sprawę, że przez prawie sto lat poddany był on działaniu czynników niszczących i chociaż w przeszłości w różnych okresach był naprawiany (są widoczne łatania blachą z użyciem cynowania i nitowania), oderwał się od szczytu kaplicy i runął z dużej wysokości w dół. W wyniku tego rozpadł się na 6 części, głównie w miejscach złączeń poszczególnych elementów. Blacha krzyża została w dużym stopniu zdeformowana i porozrywana.

W tej sytuacji po zapoznaniu się ze stanem zachowania zniszczonego krzyża z kaplicy – mauzoleum konserwatorzy – eksperci stwierdzili, iż: *krzyż w całości nie kwalifikuje się do konserwacji, jest tak dalece zniszczony, że nie nadaje się do uratowania i ponownego zamieszczenia na dachu kaplicy. Obiekt powinien zostać odtworzony na nowo i powrócić na swoje dawne miejsce. Nowy krzyż należy powtórzyć na zasadzie kopii z identycznym wzorem, podziałem elementów i wymiarami zewnętrznymi. Krzyż rozbity powinien być przekazany do placówki muzealnej.*

Nielatwego zadania skopiowania krzyża podjęła się limanowska firma „Maweda” Tomasza Sołtysa. W prace odtworzenia krzyża według projektu Marka Sawickiego, artysty plastyka, konserwatora dzieł sztuki, zaangażował się Janusz Sołtys znany w Limanowej doświadczony rzemieślnik zajmujący się blacharstwem, który w przeszłości wykonał wiele prac konserwatorsko -rekonstrukcyjnych m. in. przy limanowskiej bazylice.

W rezultacie precyzyjnych prac trwających kilkanaście tygodni powstała wierna kopia krzyża, który ponownie wieńczy kaplicę – mauzoleum płk. Othmara Muhra.

Jaka jest jego historia oraz technologia wykonania?



Powyżej: Widok cmentarza z I wojny światowej na Jabłońcu - 1917 rok. Pocztaówka z kolekcji Jacka Drożdżaka.

Poniżej: Prace kamieniarskie przy budowie tego cmentarza, wykonywali włoscy jeńcy.



Do budowy cmentarza na wzgórzu Jabłońcie przystąpiono w 1915 roku po tym, jak w wyniku zwycięskiej dla Austriaków bitwy pod Gorlicami wyparto wojsko rosyjskie na wschód. Większość prac przy budowie cmentarza według projektu Gustava Ludwiga wykonali jeńcy włoscy pod kierownictwem artystów krakowskich Henryka Uziembły oraz Jana Szczepkowskiego i Słowaka Dusana Jurkovića. Cmentarz poświęcony został przez ks. prałata Kazimierza Łazarskiego, proboszcza parafii limanowskiej, 1 listopada 1915 roku.

Centralnym obiektem wojennego cmentarza na wzgórzu Jabłońcie w Limanowej

jest kaplica – mauzoleum płk. Othmara Muhra wzniesiona w roku 1917 według projektu Gustava Ludwiga. Murowana z ciosów kamiennych, na planie ośmioboku, dwukondygnacyjna z kryptą. Kondygnacja dolna rozczłonkowana jest ośmioma masywnymi słupami podtrzymującymi gzyms i dach okapowy. Górna zaś jest zwieńczona gzymsem przerwany przez cztery otwory okienne zakończone półkuliście, ujęte w szerokie profilowane obramowania, które wypełnione są kratami, a nakryta jest wydłużoną ośmiokątną kopułą zwieńczoną krzyżem na kuli z gorią na skrzyżowaniu ramion. Kopuła pokryta jest dachówką karpiówką.

Charakterystycznym elementem tej części kaplicy jest krzyż wykonany z blachy cynkowej. Wykonany został metodą lutowania i puklowania (dekorowanie – guzkami w kształcie kul- przyp. red.). Składa się on z czterech części. Osadzony jest na podstawie w formie miski chrzcielnej z pokrywą. U dołu znajduje się ośmioboczny fartuch, na którym umieszczony jest półwałek będący podstawą czaszy o puklowanych ścianach i wywiniętej w formie wylewu górnej partii dekowanej pasem półkul. Nakrywa czaszy jest wielostopniowa, zwężająca się ku górze i zakończona tuleją, na której osadzony jest równoramienny krzyż o poszerzonych końcach ramion o wymiarach (78 x 77, 18 cm). Ramiona krzyża ujęte wąską gładką listwą połączone są okręgiem o zębatej, zewnętrznej krawędzi. Wysokość całościowa krzyża wynosi 222 cm.

Krzyż został odtworzony przez wysokiej klasy rzemieślników limanowskich według opisanego po wyżej wzoru i następnie zainstalowano go na kaplicy. Będzie zapewne przez kolejne 100 lat przypominał o miejscu, gdzie rozegrała się, jedna z bitew I wojny światowej. Stary zaś nadgryziony zębem czasu znalazł godne miejsce w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”, Stanisław Ociepka, Janusz Sołtys, Karol Wojtas.

Odtworzony krzyż zainstalowany na kopule kaplicy Muhra na cmentarzu na wzgórzu Jabłoniec.



„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”

ks. Jan Twardowski

Wyrazy głębokiego współczucia

z powodu tragicznej śmierci

Syna Pawła

Andrzejowi Pilawskiemu

oraz

Rodzinie

składa

Redakcja „Echa Limanowskiego”.

Pielegnowany przez lata, na nowo został odkryty

Po zakończonej okupacji niemieckiej, w Limanowej przystąpiono do utworzenia dwóch szkół średnich: Gimnazjum z Liceum o profilu matematyczno-fizycznym i humanistycznym oraz Liceum Pedagogicznego – wspominał w kronice parafialnej ks. Władysław Ryś, katecheta kontraktowy w tych szkołach, który w lutym 1945 roku został mianowany oficjalnie przez władze szkolne na to stanowisko.

Początkowo szkoły miały siedzibę w budynku Szkoły Powszechnej w Limanowej, po krótkim czasie przeniesione zostały do Sowlin, gdzie na bazie adoptowanych do tego celu budynków, dawniej zajmowanych przez pracowników przemysłu naftowego byłej Rafinerii, zlokalizowano Gimnazjum z Liceum, a w budynku Szkoły Powszechnej przyjęto klasy Liceum Pedagogicznego, zaś sama szkoła stała się równocześnie Szkołą Ćwiczeń.

W tej sytuacji powstała potrzeba zorganizowania kaplicy dla młodzieży utworzonych szkół, aby mogła realizować praktyki religijne, które dotychczas urzeczywistniała w kościele limanowskim oddalonym od siedziby nowych szkół o trzy kilometry.

Powstał pomysł, aby urządzić kaplicę w pozostawionym przez okupantów hitlerowskich baraku zbudowanym dla celów biurowych, a przekształconym przez żołnierzy radzieckich na magazyn żywnościowy. Barak był własnością Rafinerii – Bednarni i znajdował się obok portierni tych zakładów. Ówczesny dyrektor inż. Józef Florian pozytywnie zaakceptował prośbę o przekazanie owego baraku na potrzeby kultu religijnego. W krótkim czasie przystąpiono do przebudowy i adaptacji baraku, który miał kilka pomieszczeń. Usunięto więc ścianki dzielne, umocniono wiązania dachu, wyrzucono sufit i pokryto cały dach baraku papą. Zbudowano skromną, prostą, prowizoryczną wieżyczkę zakończoną krzyżem i umieszczono w niej mały kościelny dzwon - sygnaturkę. Nad wejściem zbudowano również mały daszek ozdobiony także krzyżem, zaś wewnątrz zrobiono małe skromne balaski i prowizoryczną zakrystię dla kapłana



Kaplica w Sowlinach.

i ministrantów. Całość od zewnątrz pomalowano bardzo skromnie. Roboty nad urządzeniem kaplicy trwały przez miesiąc listopad, zaś na 8 grudnia 1945 roku zaplanowano poświęcenie i uroczyste jej otwarcie. I tak się stało. Na uroczystość otwarcia kaplicy zjechało do Sowlin 23 kapłanów z ks. dziekanem Bernardynem Dziedziakiem z Ujanowic na czele oraz rzesze młodzieży szkół średnich i powszechnych z Sowlin i Limanowej. Uroczystość zgromadziła także bardzo liczną grupę rodziców.

To wówczas po raz pierwszy dźwięk małego dzwonu – sygnaturki zapraszał wszystkich na uroczystą Mszę św. z okazji poświęcenia kaplicy szkolnej, która w niedługim czasie stała się miejscem kultu religijnego dla wszystkich mieszkańców tej przemysłowej dzielnicy Limanowej.

W latach 40. ubiegłego stulecia dla mieszkańców Sowlin bliskie stały się dwa charakterystyczne dźwięki, które wyznaczały im sens życia. Ochryple buczenie parowej syreny Rafinerii, która wzywała do pracy w fabryce i głos sygnaturki zapraszający do modlitwy w kaplicy.

Jaka jest historia owego małego dzwonu, którego średnica wynosi zaledwie 19 centymetrów i waży 3,8 kilograma, a pomimo to wydaje donośny mocny głos?

Przechowany przez Marka Pankiewicza, po 70 latach od zamontowania na wieżycie sowlińskiej kaplicy, po której jedynie pozostały wspomnienia, na nowo wzbudza emocje i zapewne stanowi cenną pamiątkę z trudnych lat powojennych, szczególnie dla starszych osób.

Bo dzwon jest przedmiotem niosącym za sobą głęboką symbolikę. Jego dźwięk jest wezwaniem do modlitwy i posłuszeństwa, narzędziem obwieszczenia świąt i ważnych wydarzeń. Ten z Sowlin zapewne był niemy świadkiem wielu wydarzeń, które rozegrały się w tym miejscu najpierw w rektoracie, a później w parafii sowlińskiej.

Po latach dostojnej służby dla mieszkańców Sowlin fragment dolnej części dzwonu został uszkodzony. Próbowano go ratować, jednak w 50. latach XX stulecia technologiczne możliwości były ograniczone. Pomimo to fachowcy z Rafinerii nadlali uszkodzony element dzwonu (widoczny obraz na fotografii). Jednak już nigdy na wieżyczkę kaplicy nie powrócił. W międzyczasie wymieniono sygnaturkę na nową. Stara została przechowana w jednej z szop znajdujących się za willą w Sowlinach, w której m. in. gromadzone nieużywane przedmioty z kaplicy. We wspomnianej willi mieszkali księża



Wieżyczka kaplicy zakończona krzyżem, w której umieszczony był mały kościelny dzwon - sygnaturka.

administratorzy rektoratu. Kiedy w 1977 roku wydano nakaz rozbiórki szop (istniała już parafia w Sowlinach) o małym dzwonie przechowywanym w tej szopie najwyraźniej zapomniano. W tej samej wili mieszkali Pankiewiczowie. Ich młodszy syn, Marek, w stercie resztek zburzonej szopy przypadkowo odnalazł sygnaturkę, którą pieczołowicie przechował, bowiem zawsze był pasjonatem limanowskich staroci.

O Jego pasji pisaliśmy na łamach „Echa Limanowskiego”, opisując z jego kolekcji m. in., tasak artyleryjski, który został wykopany na polu bitwy na wzgórzu Jabłonec oraz cep bojowy (kiścień) z okresu późnego średniowiecza, który odnalazł w nurcie rzeki Łososiny.

O komentarz w sprawie historycznej sygnaturki poprosiłem również wieloletniego proboszcza, a zarazem budowniczego kościoła w Sowlinach ks. prałata Jana Bukowca, który potwierdził dzieje odnalezionego małego dzwonu - sygnaturki, jakkolwiek nie był on z nim związany, tylko Jego poprzednicy: ks. Władysław Ryś, który w kronice parafialnej wspomina o sygnaturce oraz ks. Władysław Ślęk. Ksiądz Jan Bukowiec do Sowlin przybył w 1964 roku, a w



Pierwsza, oryginalna sygnaturka z kaplicy w Sowlinach przechowana przez Marka Pankiewicza (średnica wynosi 19 cm, waży 3,8 kg). Widoczne uszkodzenie w dolnej części dzwonu.

tym czasie na wieżycze kaplicy była już nowa sygnaturka.

Opowiedział natomiast ciekawe zdarzenie związane z tą starą sygnaturką, którą to informację przekazał mu ks. Władysław Ślęk.

Kiedy w 1953 roku zmarł „ojciec narodów” Józef Stalin do księdza Śłęka przybyli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, aby polecić mu wyrażenie smutku po zmarłym towarzyszu Stalinie przez uruchomienie dzwonu, tak jak we wszystkich innych kościołach. Ksiądz Ślęk odmówił wykonania polecenia, wtedy zagrożono mu wyciągnięciem konsekwencji i rozliczeniem w Urzędzie. Nie zastanawiając się długo, ks. Władysław powiedział, iż „ludzi do głębi rozśmieszysz, kiedy tak „wielkiego” człowieka będzie żegnał tak mały dzwonek. I polecenia nie wykonał.

Dzisiaj po 70 latach sygnaturka jest jedną z nielicznych pamiątek po kaplicy – baraku, który służył wiernym mieszkańcom Sowlin przez wiele lat do czasu wybudowania obecnego kościoła pw. św. Stanisława Kostki. Zaś Marek Pankiewicz urodzony sowliniak, który przez wiele lat przechowywał historyczną sygnaturkę przekazał ją na ręce ks. prałata Jana Bukowca w dowód szacunku do księdza seniora.

Fotografie:
arch. albumu „Okrucy pamięci”,
Stanisław Ociepka

Lata okupacji uczyniły mnie dorosłym, dojrzałym młodzieńcem - w 70. rocznicę zakończenia wojny

Przez okres ponad pięcioletniej okupacji hitlerowskiej doświadczyłem wielu przeżyć, które uczyniły, iż szybciej wydorosłałem niż moi rówieśnicy. Kiedy rozpoczęła się II wojna światowa miałem dziewięć lat. Ukończyłem drugą klasę szkoły podstawowej. Było piękne lato. Pomagałem, jak zawsze, przy pracach polowych, sianokosach, żniwach i pasieniu krów.

Do naszego domu Pod Górą na „Dziołku” (dziś ul. Leśna), chętnie przychodzili znajomi, sąsiedzi, z miasta koledzy ojca, nawet Żydzi. Coraz częściej mówiło się o wojnie. Był koniec sierpnia. Kilku moich sąsiadów powołano do wojska. Wojna była prawie pewna, chociaż tak naprawdę nie bardzo w nią wierzyliśmy. Nagle pojawiła się wiadomość, że Niemcy uderzyli na Gdańsk, przekroczyli nasze granice, bombardują Warszawę, miasta, wsie, drogi, tabory i cywilnych uciekinierów. W Limanowej wybuchła panika. Wszyscy znajomi z „Kamieńca”, z wózkami, tobołami i co tylko ze sobą dało się zabrać, zaczęli uciekać. Jedni na Wschód, a inni w góry do trudno dostępnych wiosek. Kilka rodzin przyszło

schronić się do naszego domu. Było też kilka rodzin żydowskich. Wszyscy oni spali na boisku, w stodole, na strychu. Ojciec nikomu nie odmówił schronienia. Byli u nas około dwóch tygodni. Odeszli dopiero po wkroczeniu wojsk niemieckich do miasta. Rozpoczęły się okrutne rządy okupanta. Na ścianach domów, stodół, budynków rządowych zaczęły ukazywać się zarządzenia w języku niemieckim i polskim: za ukrywanie Żydów kara śmierci, za posiadanie broni, amunicji, radioodbiornika kara śmierci za nielegalny ubój lub handel obóz koncentracyjny. Za uchylanie się od przymusowych robót na rzecz Trzeciej Rzeszy obóz, za ukrywanie albo pomoc bandytom (partyzantom) kara śmierci. I wiele innych. Nawet było zarządzenie, aby wszystkie młyny, a nawet żarna domowe były zniszczone. Nasz wiatrak został zamknięty i zaplombowany. Nakazano oddawać wysokie kontyngenty. Z każdego gospodarstwa należało oddać siano, słomę, ziemniaki, zboże, w takiej ilości, że nie wystarczało na wyżywienie naszej rodziny ani bydła. Dlatego

z dodatkiem stokłosa, kasza ziemniaczana z nadpsutych ziemniaków. Pokrzywa gotowana i mieszana nawet nie wiem z czym. Chleb był rzadkością, placki mama piekła tylko na święta. Niemcy wydali zarządzenie, żeby wszystkie krowy rasy nieczzerwonej oddać na rzeź. Nie pomogło nic. Nieraz było i tak, że wielodzietna rodzina musiała oddać ostatnią swoją żywicielkę. Dzieci pozostawały bez kropli mleka, a w spiżarni i stodole też było pusto. Wszyscy mężczyźni i kobiety od osiemnastego roku życia musieli się meldować, a ci co nie pracowali w zakładach kolejowych w Nowym Sączu, w Rafinerii w Sowlinach, czy innych zakładach pracujących dla celów wojskowych, byli przymusowo wywożeni do Niemiec. Młodzież i dorośli, aby uniknąć przymusowej wywózki na roboty ukrywali się, najczęściej w lesie. Z tego powodu zaczęły się organizować różne grupy. Niektórzy nawiązywali kontakty z partyzantką. Było i tak, że powstawały bandy rabusiów, napadających nawet na własnych sąsiadów. Grabili, co się tylko dało, a najgorsze, że często odbywało się to pod płaszczykiem organizacji



Droga „Pod Górą” na „Dziołku” (obecnie ulica Leśna). Po stronie prawej rodzinny dom Franciszka Mamaka.



Dom rodzinny Surmów, gdzie w czerwcu 1944 roku zostali aresztowani: Antoni Surma, żona Magdalena i córki Janina i Antonina.

wojskowych, partyzantów. Nieraz doprowadzało to do samosądów i egzekucji. Z żalem i wstydem muszę też napisać o konfidentach, którzy za kawałek chleba z marmoladą albo worek cukru gotowi byli donieść i wydać swoich rodaków. Węszyli po osiedlach, czy kto nie ukrywa Żyda, Cygana lub kogo poszukiwanego przez gestapo. Działali skrycie wśród swoich, nie wzbudzając podejrzeń. Zdarzało się też wśród zwaśnionych sąsiadów, a osobiste porachunki załatwiali przez fałszywy donos. Na szczęście u nas nie było takiego przypadku. Na Górach u rodziny Pałków i Wronów ukrywał się profesor Józef Bednarz. Jego kryjówka była tak pomysłowo wykonana, że spod strzechy, która sięgała do samej ziemi, wchodziło się wprost do lochu. Pomimo rewizji przez gestapo, lochu nie odkryto. W górze, u Abramów partyzanci mieli nocne schronienie.

Coraz bardziej potęgował się terror okupanta. Wszyscy Żydzi, mieszkający w mieście, jak również z pobliskich okolic, zostali stłoczeni na niewielkiej przestrzeni, na „Kamieńcu”. To getto obejmowało obszar od Szkoły Powszechnej po potok Mordarka, do mostu przy starej Targowicy, wzdłuż skarpy, do domu stolarza Pałki, który nie był włączony w getto.

Szkoła była zajęta przez wojsko Wehrmachtu, budynek Towarzystwa Zaliczkowego przez policję niemiecką, a willa adwokata Jonasza Hammerszłaga na ul. Sądeckiej przez Arbeitsamt. Po likwidacji getta żydowski budynek garbarni zajęły oddziały SS, a wzdłuż uliczki wybudowano stajnie dla koni.

Po likwidacji getta zostali wyznaczeni stróże, którzy mieli pilnować pozostawionego żydowskiego mienia. Zdarzały

się bowiem kradzieże i szukanie ukrywanego złota. Żydzi, którzy w swoich rękach w okresie międzywojennym mieli prawie cały handel w Limanowej, nie inwestowali w nieruchomości. Mieszkali w drewnianych skromnych domach, a za pieniądze z handlu kupowali złoto i biżuterię. Jednak wszystko to musieli oddać okupantowi niemieckiemu pod karą śmierci.

Coraz bardziej zaczął się nasilać ruch partyzantów. Do ich zwalczania Niemcy musieli angażować całe oddziały SS i policji. Coraz częściej dochodziło do zbrojnych potyczek. Po jednej i drugiej stronie były ofiary. W odwecie za każdego zabitego Niemca hitlerowcy rozstrzelali kilkunastu polskich zakładników. Pacyfikowano i palono całe wsie i osiedla. Za wykolejenie pociągu na trasie Dobra – Kasina Wielka spacyfikowano i spalono wioskę Porąbkę. Za wykolejenie pociągu w Męcinie obok torów kolejowych powieszono kilkadziesiąt więźniów.

Do dzisiaj nie zapomniałem tragicznego wydarzenia, jakim było dla mnie dorastającego chłopca, zabranie przez gestapo całej rodziny Surmów, naszych bliskich sąsiadów.

Wcześniej przed tym wydarzeniem, w maju 1944 r., zostali śmiertelnie ranni dwaj poszukiwani przez gestapo działacze podziemia: Weinbrenner i Tomaszek. Ten drugi był bratem Magdaleny Surmy. Gestapo znalazło przy nim notes zawierający nazwiska osób, które w jakiś sposób im pomagały albo udzielały schronienia. Zaczęły się aresztowania.

Z początkiem czerwca, gdzieś około drugiej w nocy, rozległo się do naszego domu łomotanie kolbami do drzwi

i w okno. Przerazona mama otworzyła drzwi. Do domu weszło kilku granatowych policjantów i gestapo. Mieli ze sobą psa. Jeden z nich po polsku zapytał: *Gdzie mieszkają Surmy?* Mama im odpowiedziała, że tutaj, w pobliżu, nie ma takich. Wie, że w Sowlinach mieszkają ludzie o takim nazwisku. Wyszli więc z naszego domu i poszli dalej. Może po jakiej godzinie gestapo znów zaczęło grzmocić kolbami do naszych drzwi. Gwałtownie wtargnęli do środka i zaczęli straszliwie bić moją mamę. Zbili też ojca po głowie, ale chyba ze względu na jego podeszły wiek mniej niż mamę. Ja z siostrą Kazią leżeliśmy ledwo żywi od strachu, bo to wszystko odbywało się na naszych oczach. Gestapo jeszcze kazało zapłacić wysoką karę pieniężną i wyszli. Moja mama nigdy nie żałowała tego czynu i miała satysfakcję, że nie wydała sąsiadów. W tą noc czwarcą zabrano całą rodzinę Surmów: Antoniego Surmę i jego żonę Magdaleny, dwie ich córki: Janinę i Antoninę. Najmłodszy syn, osiemnastolatek, pracował w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu i stamtąd został zabrany i uwięziony.

Po wielu latach, opowiedziała mi o tym tragicznym wydarzeniu Antonina Wojtas z domu Surma, córka Antoniego i Magdaleny Surmów. Powiedziała wówczas: *Z początkiem czerwca 1944 r., gdzieś po północy, nasz dom został otoczony przez policję niemiecką. Było ich około 10. Weszli do środka domu, przeprowadzili rewizję i przesłuchali mojego ojca i mamę. Zabrali skórzaną kurtkę twierdząc, że jest własnością „bandziora”. Pretekstem do rewizji był rzekomo powód przechowywania i udzielania pomocy partyzantom („bandom”). Kazali nam wszystkim się* ▶



Przed domem rodzinnym Jana Surmy (aresztowany w Nowym Sączu) w oknie jego siostra Janina.



Siedziba policji niemieckiej w Limanowej w czasie okupacji. Tu przesłuchiwana była rodzina Surmów.

► ubrać i poprowadzili nas na policję niemiecką (gestapo) w Limanowej. Po drodze zatrzymali się u sąsiada, Franciszka Mamaka, aby go ukarać za to że nie wskazał gdzie mieszkali Surmowie. Na policji w Limanowej do rana prowadzone były przesłuchania. Rano załadowano nas do samochodu wraz z innymi (było wszystkich około 20 osób) i wywieźli do Nowego Sącza, do oddziału politycznego.

Mój brat, Jasiek, w tym czasie kiedy nas aresztowano pracował na nocną zmianę na kolei w Nowym Sączu i stamtąd go zabrali pod zarzutem posiadania broni, a także wspierania band. W więzieniu porozumiewaliśmy się za pomocą stukania w ścianę. Siostra Janka siedziała razem z mamą. Bez przerwy byłam przesłuchiwana i bita. Na jedną noc zamknęli mnie w piwnicy, gdzie było pełno szczurów. Z bratem Jaśkiem rozmawiałam przez okno, powiedział mi wówczas, że idzie tam, gdzie mama i tata. Zrozumiałam wówczas, że sytuacja jest tragicznie groźna.

Gdzieś w miesiącu sierpniu przenieśli nas do innego budynku, niedaleko przystanku kolejowego i wywozili na roboty przy okopach. Pilnował nas policjant polski. Zauważyłam, że nie bardzo zwraca na nas uwagę. Nie wiem, czy robił to celowo, czy była inna tego przyczyna. Ponieważ byłam szczupła, prześliznęłam się przez dziurę w ogrodzeniu, uciekłam na przystanek i przyjechałam do domu w Limanowej. Janka uciekła na drugi dzień.

Więcej nie widziałam się z Jaśkiem i z moimi rodzicami. Nawet nie wiedziałam, w który dzień zostali rozstrzelani w Rdziszowie. Wiedzieliśmy tylko, że codziennie były egzekucje.

Był już rok 1944. Gestapo było opuszczone, na ścianach domów w mieście, stodoł na wsi nadal ukazywały się czerwone plakaty z nazwiskami zakładników. Wiedzieliśmy wszyscy, jaki los ich czeka. Coraz częściej mówiło się, że na Wschodzie i na Zachodzie jest Wojsko Polskie. Pomimo propagandy niemieckiej o sukcesach armii na wszystkich frontach, dochodziły wiadomości, że armia niemiecka ponosi klęski na froncie wschodnim. Front zbliżał się do naszych granic. Niemcy na gwałt zaczęli robić umocnienia na linii rzeki Dunajec. Miały one na celu powstrzymać zbliżający się front. Okopy, stanowiska ogniowe, rowy przeciwpancerne ciągnęły się od Klęczan przez marcinkowickie wzgórza, Kurów, aż do Tęgororza.

Wszyscy jeszcze zdolni do pracy otrzymali nakaz dojazdu do Marcinkowic. Moja starsza siostra była słabego zdrowia i dlatego nie została zabrana na roboty do Niemiec, ale otrzymała nakaz stawienia się do robót przy okopach. Nie miałem jeszcze ukończonego czternastego roku, ale byłem dobrze zbudowany i zahartowany przez ciężką pracę od małego dziecka. W domu więc postanowiono, że to ja zastąpię siostrę.

Codziennie o godzinie szóstej rano wsiadałem do towarowego pociągu, który zabierał robotników od Mszany Dolnej i dalej na każdej stacji kolejowej, aż do Marcinkowic. Tam formułowano kolumnę, sprawdzano obecność i już pod nadzorem szliśmy jakieś 2 do 3 kilometrów na pobliskie wzgórze. Z magazynu pobieraliśmy narzędzia i dozorcujący każdemu wyznaczał, ile ma pracy wykonać. Rowy strzeleckie, o ile dobrze pamiętam, miały około 180 cm głębokości i dołem 70 cm szerokości. Przy kopaniu nie było żadnej ulgi. Robota musiała być wykonana. Jeżeli trafiłem na twarde, kamienny grunt, to musiałem pracować dłużej i wówczas wracałem do domu dopiero drugim pociągiem, wieczorem. To wszystko o małej kromce kombinowanego chleba z marmoladą z buraków, w zgrzebnych portkach, które ocierały skórę aż do krwi, i butach drewniakach.

W miesiącu sierpniu część pilnujących nas niemieckich żołnierzy została zabrana, prawdopodobnie na front, a zastąpili ich nowi dozorczy. Mnie pilnował młody, może 18 lat mający chłopak. Opowiadał nam, że jest z Warszawy, w której trwa powstanie i że Niemcy bombardują i palą całe miasto, mordują ludność cywilną. O sobie nic nie mówił, ale lubiliśmy go, bo pozwalał nam obierać śliwki. Były one bardzo robaczywe, ale pozwalały zaspokoić głód.

Robota przy okopach w Marcinkowicach trwała do jesieni. Jeżdżąc codziennie pociągiem, widziałem w Męcinie Podgórzu wysadzony pociąg. Wagony leżały pod wysoką skarpą. W odwet hitlerowcy w Chomranicach powiesili polskich zakładników. Wisieli tam kilka dni. Nigdy tego nie zapomnę. Po koniec września przestałem jeździć do Marcinkowic. Dostałem nakaz, aby zgłaszać się codziennie do Mordarki, do dworu. Na polach obok alei lipowej kazano nam kopać rowy, szerokie może na dwa metry i głębokie 60 do 70 centymetrów. Ziemię z wykopu odkładaliśmy na bok.



Stacja kolejowa w Limanowej zniszczona w czasie działań wojennych przez wojska niemieckie w styczniu 1945 roku.

Tych rowów długich przez całe pole, obok siebie było cztery. Rolnicy zaczęli zwozić słomę, którą na dzień wykopu układaliśmy dosyć grubą warstwę. Za parę dni samochody zaczęły zwozić ziemniaki, usypywane przez nas w sterty, okrywane słomą i grubo zasypane ziemią. Kopce te przetrwały aż do wkroczenia Armii Czerwonej. Częściowo ziemniaki zostały zabrane przez okolicznych mieszkańców. Cały listopad i jeszcze do połowy grudnia kopaliśmy rowy przeciwczołgowe. Jeden taki w Limanowej był wzdłuż potoku Jabłoniec, naprzeciw browaru. Podczas tej pracy zdarzył się pewien incydent, o którym wspominam do dziś. Starszy żołnierz niemiecki, który nas pilnował, widząc, jak mały chłopiec (miałem 14 lat) z wysiłkiem uderza kilofem w twardą ziemię, odebrał mi kilof, podał do mojej ręki karabin i przez jakiś czas pracował za mnie. Pamiętam, z jakim lękiem, daleko od siebie trzymałem tę broń. Posyłał mnie również na swoją kwaterę, abym palił mu w piecu. Dostawałem często kawałek czekolady.

Rowy przeciwczołgowe kopaliśmy jeszcze przy moście w Sowlinach, kierunek Tymbark i na Moczarkach, w Dębinie.

Dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia 1944 r. z moim kolegą Frankiem wybrałem się po choinkę. Najładniejsze jodłowe choinki rosły za górą. Zima była śnieżna. Na szczycie góry śnieg nam sięgał do pasa. Ponieważ nie chcieliśmy iść koło domu Gawlika, zeszliśmy w dolinę, gdzie zobaczyliśmy ścieżkę wydeptaną przez dużą grupę ludzi.



Fragmenty spalonego przez Rosjan w styczniu 1945 roku dworu w Mordarce.

Na pewno był to oddział partyzantów przebywający w tamtych lasach. Po przejściu na wolną przestrzeń usłyszeliśmy gwizd kul, bardzo blisko nas, a potem huk z serii karabinu. Rzuciliśmy się ze strachu pod wysoką miedzę i wzdłuż niej do pobliskiego lasu. Wróciliśmy do domu, oczywiście, bez choinki.

Do połowy stycznia czas upływał dosyć spokojnie. Raz jeszcze oddział żołnierzy niemieckich przeszedł drogą na Sarczyn i dalej do lasów, w poszukiwaniu partyzantów, ale do żadnej potyczki nie doszło.

Około 15 stycznia nad miastem pojawiły się radzieckie samoloty. Przed stacją kolejową, pod semaforem, stał długi niemiecki transport wojskowy. W tym czasie z Łysej Góry nadleciało kilka samolotów, które z broni maszynowej zaczęły strzelać do stojącego transportu i rzucać bomby na stację kolejową. Po tym znów nastał spokój. Wieczorem 16 stycznia Niemcy wysadzili dwa mosty kolejowe. Zaminowane były: magazyn zbożowy Spółdzielni „Kosa”, budynek Starostwa oraz Szkoły Powszechnej, gdzie mieściły się koszary dla Wehrmachtu. Na szczęście Niemcy, uciekając, nie zdążyli zdetonować ładunków.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej, nad ranem zaczęły się palić domy w Rynku. Pożar strawił wszystkie drewniane zabudowania północnej strony Rynku, charakterystyczne podcienia. Również spłonął piękny, zabytkowy dwór w Mordarce. Z płonących domów i sklepów oraz dworu nie udało się prawie nic uratować.

Kiedy kończyły się palić budynki w Rynku, poszedłem zobaczyć, co się tam podziało. Zobaczyłem jedno ogromne gruzowisko tłących się zgliszczy. Gdy wracaliśmy do domu w kierunku „Dziołka” (dziś ul. Kolejowa), widziałem budynek stacji kolejowej w gruzach, to Niemcy uciekając zniszczyli stację. Tory kolejowe były pozrywane i poskręcane w jakieś dziwne spirale. Na polach wokół stacji było pełno dziur po bombach, niektóre nawet niewypały sterczały z ziemi.

Zaraz po oswoobodzeniu, jak to się wtedy nazywało, zaczęło się utrwalanie władzy ludowej. Zaczęto organizować Milicję Obywatelską. Milicjanci na rękach nosili biało-czerwone opaski.

Do Limanowej wraz z Armią Czerwoną przybyło NKWD i Bezpieka. Zaczęły się pierwsze aresztowania, donosy, tropienie tzw. „band”, tj. wojskowych organizacji, jak Armia Krajowa (AK), czy Wolność i Niezawisłość (W i N).

Mój szwagier, Henryk Janczy, Bogu ducha winien, z domu został zabrany przez NKWD i wywieziony w głąb Rosji, za Ural. Przebywał tam prawie pięć lat. Stracił zdrowie. Później nie otrzymał nawet żadnego odszkodowania.

Komenda NKWD i UB mieściła się w budynku opuszczonym przez policję niemiecką, naprzeciw Starostwa w tzw. kamienicy „Pod Pszczółką”. W tym budynku w czasie okupacji więzieni byli nasi sąsiedzi Surmowie. Mój Boże! Co ściany tego budynku „widziały i słyszały”. Ile w nim było przesłuchań, tortur, wyroków śmierci, za czasów UB. Po ciachu ludzie mówili, że na jego podwórku albo na szkarpie ktoś został pochowany. Kto może wiedzieć, ilu tam ludzi leży?

Była już wiosna, maj. Cała nasza rodzina pracowała w polu, a tu do nas podchodzi jakiś obcy i mówi: Koniec wojny! – Radość ogromna.

Na swoje dawne tereny zaczęli powracać ludzie z Wielkopolski (poznaniacy jak się mówiło). Natomiast do nas zaczęli przyjeżdżać wysiedleńcy z Kresów Wschodnich. Najwięcej było z terenu Lwowa, Tarnopola. Do Limanowej powrócił wuj Stanisław Trojanowski, wyrzucony ze swego domu w Zaleszczykach.

Zaczęła się wielka propaganda: wyjazd na Ziemię Odzyskaną, na Zachód. ▶



Bomby lotnicze użyte do niszczenia transportów kolejowych w pobliżu Limanowej, wzdłuż linii kolejowej Limanowa-Nowy Sącz.

► Nasze górskie tereny przeludnione, o drobnych gospodarstwach nie dawały szans rozwoju, a na Zachodzie stwarzały ludziom wielką szansę na poprawę bytu. Tak więc ludzie wyjeżdżali oglądać gospodarstwa poniemieckie. Byli i tacy, co zdecydowali się tam pozostać. Swoje dotychczasowe, małe gospodarstwa przekazywali swoim krewnym. Zabierali swój żywy dobytek: krowy, owce, konie. Ładowali to do wagonów i razem odbywali podróż, która trwała około dwóch tygodni na zachód.

W swoje rodzinne strony zaczęli powracać wywiezieni na przymusowe roboty do Niemiec i Austrii. Wracali również więzieni w obozach i w niewoli niemieckiej. Niektórzy, zwłaszcza ci, co znaleźli się w zachodniej strefie Niemiec, wyzwolonych przez wojska alianckie, wyjeżdżali do Anglii, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a nawet do Australii. Pozakładali tam rodziny i pozostali na stałe.

Wracali też do kraju żołnierze walczący na frontach zachodnich. I nie mogli cieszyć się z upragnionej wolnej Polski, za którą przelewali krew. W kraju czekały ich przesłuchania, więzienie, gorzkie rozczarowanie. Prosty żołnierz, ten co walczył pod Lenino czy Monte Cassino, nie bawił się w politykę, po prostu walczył o wolną Polskę. Rzeczywistość okazała się inna. Jednych czekały zaszczyty, a drugich upokorzenia.

Jednak wszyscy z takim samym zapalem najpierw zabrali się do usuwania zniszczeń wojennych, a potem do odbudowy kraju. Potworzono młodzieżowe hufce. Chłopcy i dziewczęta byli wzywani do brygad robotniczych, do odbudowy Warszawy i zniszczonego kraju. I ja zostałem w 1948 roku powołany do 37. brygady SP w Szamotułach. Naszym zadaniem była budowa drugiego toru linii kolejowej, od jeziora Kiekrz za Poznaniem w kierunku Wronek. Codziennie o szóstej rano pobudka, gimnastyka, śniadanie i wyjazd do pobliskiego jeziora. Tam na wagony ładowaliśmy piasek.

W Szamotułach byłem przez dwa miesiące, lipiec i sierpień. Z tęsknotą czekałem na powrót do domu, do prac polowych, bo wiedziałem, jak mojej mamie i siostrze jest ciężko.

Trochę wybiegłem swoimi wspomnieniami, bo one się wiążą z odbudową kraju i chociaż przeżycia i doświadczenie uczyniły mnie prawie dorosłym, dojrzałym młodzieńcem, kiedy wojna się skończyła miałem 15 lat, musiałem pomyśleć co mam dalej robić – ale o tym w innym szkicu moich wspomnień.



Ekshumacja rozstrzelanych w Rdziostowie k. Nowego Sącza.



Trumny w kaplicy cmentarnej w Limanowej ze zwłokami Surmów po ekshumacji w Rdziostowie.

Artykuł opracowany został na podstawie wspomnień Antoniego Mamaka zatytułowanych „Przeminęło z czasem - autobiografia”, które pozostają w maszynopisie.

Wspomnienia te zostały udostępnione redakcji „Echa Limanowskiego” za co wyrażam serdeczne podziękowanie. Informuję równocześnie, iż tekst z rozdziału „Okupacja” za zgodą autora został skrócony, ze względu na określoną ilość miejsca w dwumiesięczniku.

Stanisław Ociepka
Fotografie: arch. rodziny Wojtasów i rodziny Bulandów
arch. albumu „Okruchy pamięci”

Zjazd rodziny Czechowskich



Limanowa jest kolebką rodziny Czechowskich. To tutaj w 1921 roku zawarli związek małżeński Antonina z domu Jasica (1896 – 1956) z Władysławem Czechowskim (1878 – 1950). Całe życie spędzili w Limanowej. Mieszkali w nieistniejącym obecnie domu przy ul. Zielonej (obok szkoły nr 1), gdzie były przepiękne przydomowe ogrody z kwiatami. Nastroj panujący przy tego rodzaju uliczkach był niepowtarzalny.

Władysław Czechowski był szanowanym pracownikiem kolei, jego małżonka Antonina zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Czechowscy mieli pięcioro dzieci: Władysława, Czesława, Mieczysława, Bronisława i Emilię po mężu Glaser. Kształcili się w Limanowej i Nowym Sączu.

Wszyscy byli wzorowymi harcerzami, a czasie II wojny światowej walczyli w partyzantce AK, za co po wojnie byli represjonowani. Dorosłe ich dzieci rozjechały się po całym kraju.

Po latach do Limanowej powrócili Czesław i Władysław. Czesław podjął pracę w PKS. Można było go spotkać za okienkiem kasy biletowej na „dworcu PKS”. Tam też zawsze uśmiechnięty, cierpliwie tłumaczył szczególnie starszym osobom zawilosci korzystania z przejazdów autobusami. Był również obdarzony doskonałym głosem i słuchem, śpiewał w chórze parafialnym.

Władysław, z wykształcenia nauczyciel, w latach okupacji hitlerowskiej był

związany z tajnym nauczaniem. Był budowniczym szkoły w Mordarce. Kierował tą placówką przez kilkadziesiąt lat. Był jednym z inicjatorów budowy Domu Nauczyciela w Limanowej.

Rodzina Czechowskich związana również była w latach 40. i 50. ubiegłego stulecia z Amatorskim Teatrem Ziemi Limanowskiej, grywając w słynnych limanowskich jasełkach.

Mimo upływu czasu i odejścia z tego świata Dziadków i Rodziców, rodzina jest ze sobą nadal bardzo zżyta i pozostaje w bliskim kontakcie. To duża zasługa Bronisława Czechowskiego z Nowego Sącza, który od lat organizował spotkania rodzinne przy wszystkich możliwych okazjach. Aktualny Zjazd w Limanowej

odbył się w dniach 6-7 września 2014 r. Zjazd ten był o tyle inny, iż spotkały się ze sobą wszystkie pokolenia, od tych najstarszych po 2-letniego praprawnuka Seweryna.

Wszyscy uznali, że pragnieniem tychże jest to, aby dzieci i wnuki lepiej poznały historię Limanowej, miejsca ich korzeni i pielęgnowały rodzinne tradycje oraz szanowały pamięć o swoich przodkach.

W imieniu rodziny **Grażyna Makowska**.

Redakcja „Echa Limanowskiego” wyraża podziw i wielkie uznanie dla tego typu organizacji rodzinnych spotkań i kultywowaniu tradycji. Z tej to okazji całej wielopokoleniowej rodzinie Czechowskich życzymy wszystkiego najlepszego.



Nieistniejące zabudowania przy ulicy Zielonej, gdzie mieszkała rodzina Czechowskich.

To już 70 lat

Zofia Wiśniewska

Rok 2015 jest szczególną datą w historii limanowskiego szkolnictwa średniego. 70 lat temu w styczniu 1945 r. zacni pedagodzy PP. Antoni Bieda i Stanisław Ceglarsz na bazie tajnego nauczania utworzyli Miejskie Gimnazjum i Liceum Koedukacyjne w Limanowej.



Pedagodzy, którzy po zakończeniu II wojny światowej tworzyli od podstaw pierwszą szkołę średnią - Miejskie Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum w Limanowej. Ze szkoły tej wyrosły potem: I Liceum Ogólnokształcące oraz Państwowe Liceum Pedagogiczne. Na schodach przed budynkiem Szkoły Powszechnej w Limanowej stoją nauczyciele, pierwszy rząd u góry, od lewej: Władysław Sułkowski, Władysław Wietrzny, Władysław Szewczyk, Stefan Bieda. Drugi rząd: Jan Kalisz, Władysław Borysiuk, Zofia Borysiuk, M. Geilhofer - sekretarka szkolna, Maria Poško (Ociepkowa), Jan Podgórnny, Szczepan Gajewski, Stefania Fredek, Anna Sidorowicz, Eugenia Naturska, Jan Chrobaczek, Maksymilian Brożek. Rząd pierwszy: Walenty Hłyń, ks. Stanisław Pycior, Antoni Bieda - dyrektor szkoły, Władysław Kapturkiewicz, Józef Bednarz, Jadwiga Żuławska - 1945 rok.

Była to placówka, o której mieszkańcy grodu i okolicy marzyli od wielu lat. Czteroklasowe gimnazjum i dwuletnie liceum o profilu matematyczno - fizycznym utworzone jako jeden organizm zaistniały jako placówka prywatna. Uczniowie byli zobowiązani do płacenia czesnego, bo z czegoś trzeba było zapewnić wynagrodzenie nauczycielom i obsłudze, zakupić podstawowy sprzęt szkolny i przeprowadzić niezbędne remonty.

Oprócz spraw materialnych Dyrekcja borykała się ze skompletowaniem kadry nauczycielskiej, gdyż Limanowa nie dysponowała prawie żadnymi „zasobami” z tego zakresu.

Na szczęście w czasie okupacji na Ziemię Limanowską trafiła spora grupa „wysiedleńców” - (w tym nauczycieli) ludzi wyrzuconych przez Niemców z dawnego miejsca zamieszkania. Byli to: poznaniacy, warszawiacy, a po przesunięciu się frontu

II wojny światowej na Zachód także „kresowiaczy”, którzy nie przyjęli obywatelstwa radzieckiego i zaraz za wojskiem wyruszyli, by zamieszkać w swojej „starej” Ojczyźnie.

Dyrekcja witała każdego pedagoga z otwartymi ramionami, bo to pozwoliło rozwiązać trudny problem kadrowy.

Od momentu zorganizowania placówki oświatowej zwanej w Limanowej popularnie „ogólniakiem” upłynęło 70 lat. Odeszli w NIEBYT wszyscy pedagodzy pracujący w niej w pierwszych powojennych latach. Drastycznie zmalała również grupa pierwszych jej uczniów. Dlatego też korzystając z tak okrągłej rocznicy, należy wspomnieć o pedagogach, którzy z tą placówką związali swój los i zaczęli tworzyć jej historię.

Niektórzy pracowali w niej krótko. Czasem rok, inni trochę dłużej, a potem szli „w Polskę” do różnych miejscowości. Inni pozostali tu na całe zawodowe życie,

założyli rodziny i wrosli w swoją nową Małą Ojczyznę.

Pierwszym dyrektorem tej nowej placówki szkolnej został p. prof. Antoni Bieda, który równocześnie uczył j. polskiego. Zwracał uwagę na piękno wypowiedzi, lubił poezję i zachęcał uczniów do jej recytacji. Był bardzo zapracowany, bo ciągle trzeba było załatwiać jakieś sprawy związane z powołaną do życia placówką, usuwać w starym budynku nowe awarie, na co z reguły nie było pieniędzy. Nawet „kurendy” pisał ręcznie, bo w podarowanej przez kogoś maszynie brakowało czcionek.

Potem owo „zarządzenie” noszone przez woźną odczytywano w kolejnych klasach ku radości uczniów, bo znów się „coś urwało z lekcji”. Dopiero za kilka lat założono głośniki chrapliwie ogłaszające kolejne rozporządzenia.

Matematyki i fizyki uczył początkowo p. prof. Józef Bednarz (po upaństwowieniu placówki przeszedł do Liceum Pedagogicznego, a w Liceum Ogólnokształcącym miał tylko astronomię). Odnaczał się fenomenalną pamięcią i nie zapisywał ocen w dzienniku. Niestety, na okres trzeba było je wystawić. Wówczas do klasy przychodził p. dyrektor i zwracał się do uczniów: - Macie dopilnować, by pan prof. Bednarz wpiął wam oceny, bo jutro jest klasyfikacja, a w niedzielę wywiadówka. Pan profesor droczył się z uczniami, ale potem siadał i w ciągu dużej przerwy uzupełniał braki.

Przez początkowe 6 miesięcy rysunku nauczał artysta - malarz p. Maksymilian Brożek - limanowianin. W ciągu wakacji zdecydował się na przeniesienie do Poznania i opuścił naszą szkołę. Do tego miasta wrócił też „łacinnik” p. prof. Jan Chrobaczek, który znalazł się w Limanowej wysiedlony przez okupantów w czasie akcji prowadzonej przeciw Polakom.

W tych ciężkich, powojennych czasach, kiedy nie było podręczników do prawie żadnego przedmiotu, a do historii w szczególności, wiedzę z tej dziedziny przekazywała nam p. prof. Maria Poško-Ociepkowa. Miała rzadki do tego dar, pięknie mówiła, uczniowie słuchali, a potem we własnym zakresie robili notatki.

Ponieważ pamięć ludzka jest ulotna, zwykle zbierali się w grupach, by sporządzić stosowny zapis. Każdy coś dodał, uzupełnił i w ten sposób powstawała sensowna notatka służąca do powtórzenia materiału.

Pani profesor zwracała uwagę na wykazanie zależności przyczynowo - skutkowych w historii, bo to stanowiło sens zaistniałych wydarzeń. Zaangażowanie w to, co mówiła, czasem konieczny patos

sprawiły, że przedstawione wydarzenia pozostały w pamięci na resztę naszych dni.

Języka francuskiego świetnie uczyła p. prof. Anna Sidorowicz (spokrewniona z rodziną Marsów). Niestety, po dwóch latach pracy w szkole opuściła Limanową, bo ówczesne władze polityczne patrzyły na nią niezbyt przyjaznym okiem. W ten sposób pozbywano się wówczas wartościowych ludzi. W miejsce języka francuskiego wprowadzono j. angielski, potem jako obowiązujący - język rosyjski.

Po pierwszych 4 latach, w maju 1949 r. nastąpiło upaństwowienie placówki i wydzielenie z niej Liceum Pedagogicznego. Stanowisko dyrektora Liceum Pedagogicznego objął p. prof. Antoni Bieda i korzystając z prawa pierwszeństwa zabrał z sobą część grona nauczycielskiego według uznania i potrzeb. Niektórzy profesorowie mieli jeszcze po kilka godzin w „ogólniaku”, bo nie było można od razu skompletować nowej kadry. Podzielono także pomoce dydaktyczne.

Mimo podziału i utworzenia dwóch szkół uczniowie „ogólniaka” korzystali czasami z pracowni fizyko-chemicznej, by przeprowadzić programowo zaplanowane ćwiczenia, do których nie było pomocy dydaktycznych w LO. Podobnie różne zawody sportowe odbywały się dla obydwóch szkół w sali gimnastycznej Szkoły Ćwiczeń, ale działo się to już sporadycznie.

Dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego został p. prof. Szczepan Gajewski, który pracował w Limanowej od początku powołania szkoły średniej. Teraz władze oświatowe powierzyły mu trudne zadanie jej przeorganizowania.

Pan prof. Szczepan Gajewski był pedagogiem wszechstronnym, chociaż głównym kierunkiem jego nauczania były języki: niemiecki, angielski i łacina.

Bardzo dobre wyniki osiągał też w nauczaniu matematyki. Uczył jej w „niższych” klasach liceum, a czynił to po mistrzowsku. Pracował z całym zespołem klasowym. Po wytłumaczeniu nowego zagadnienia przeprowadzał wiele ćwiczeń utrwalających. W ciągu lekcji często wszyscy uczniowie byli kolejno wzywani do tablicy i rozwiązywania zadań. W efekcie oceny niedostateczne z tego przedmiotu były rzadkością co świadczy o kunszcie uczącego. Pan Profesor ciągle powtarzał: *Repetitio est mater studiorum* (Powtarzanie jest matką wiedzy).

Stosowanie tej zasady w nauczaniu dawało imponujące wyniki. Pan Dyrektor S. Gajewski odnosił się z szacunkiem do uczniów. Kończąc lekcję wraz „z dzwonkiem”,



Grono Pedagogiczne Powiatowego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego w Limanowej w latach 1946-49. Stoją z przodu od lewej: Józef Staniszewski, Antoni Bieda, ks. Władysław Rys, Henryk Czarnyński, Tadeusz Pikiewicz. W drugim rzędzie: Maria Biedowa, Tadeusz Ociepka, Szczepan Gajewski - pierwszy dyrektor LO po rozdzieleniu szkół. W trzecim rzędzie: Jadwiga Żuławska, Stefania Tokarykowa, Anna Orzechowska, Stefan Bieda. W ostatnim rzędzie: Stanisław Odziomek, Eugenia Naturska, Władysław Sułkowski, Władysław Wietrzny, Józef Bednarz.

stawał przed tablicą twarzą do uczniów, (którzy również wstawali), skłaniał głowę, mówił „dziękuję” i wychodził.

Nie czynił tego żaden inny pedagog. Pan Dyrektor nie krzyczał na uczniów, nie podnosił głosu, a to, co chciał przekazać nie zawierało nigdy pogroźek. Był jednak stanowczy i konsekwentny. Jeśli uczeń przekroczył obowiązujące normy, wzywał go na indywidualną rozmowę. O czym mówiono, nikt się nie dowiedział. W miarę możliwości pomagał niezamożnym uczniom. Rozumiał wiele, bo jego droga na studia też nie była łatwa. Udzielał pomocy w „zadomowieniu się” w Limanowej młodym pedagogom, którzy po studiach z nakazem pracy pojawiali się w naszym mieście. Tak było np. z rodziną pp. Barbary i Zbigniewa Kościńskich. Młodzi małżonkowie byli bez zaplecza, tuż po studiach. Nie posiadali żadnej rodziny, która by podała im rękę. W dodatku na świat miało przyjść potomstwo. Pan profesor podjął się nauczania j. polskiego, a pani prof. Kościńska - nowego wówczas przedmiotu zwanego nauką o społeczeństwie. Największy kłopot mieli młodzi pedagogowie ze znalezieniem mieszkania. Wszelkie możliwe stancje były zajęte przez uczniów, a poza tym nikt się nie zdecydował na przyjęcie jako lokatorów małżeństwa.

W tej sytuacji p. dyrektor prawie „cudem” wygospodarował w szkolnym budynku

mały pokój i oddał go młodym. Poza tym tak ułożył im rozkład zajęć, że nie trzeba było szukać pomocy do opieki nad dzieckiem. Pan dyrektor S. Gajewski był ceniony i lubiany przez młodzież.

W październiku 1954 r. został niespodziewanie przeniesiony na podobne stanowisko do Kęt, gdzie wkrótce zakończył ziemską wędrówkę.

W mojej pamięci pozostanie na zawsze inny pedagog - pan prof. Witold Jończyk. Był mistrzem w nauczaniu łaciny. Uczył jej wspaniale, ale wymagał od uczniów systematyczności i pilności. Nie można było przy jego systemie pracy liczyć na łatwizny. Zupełnie odpadała „pomoc” w postaci bryków. Wszelkie tłumaczenia musiały najpierw być „dosłowne”, a potem dopiero „wygładzane” literacko.

Trzeba było równolegle prowadzić kilka zeszytów, w tym jeden z przykładami gramatycznymi, do których należało się odwołać w przypadku zastosowania nowej formy.

Wypracowania domowe zwykle dosyć obszerne zawsze sprawdzał. Na lekcjach odpowiadało się nawet kilka razy. Do takiej pracy trzeba było się wdrożyć, ale gdy to się już stało, to efekty były imponujące. Zapisywaliśmy sobie różne maksymy, które towarzyszyły nam w życiu. Jedną z nich służy mi do dzisiaj: „*Quidquid agis, prudenter agas et respice finem*” (Cokolwiek czynisz, mądrze czyn i oczekuj końca). ▶

► Pan prof. Jończyk odszedł w 1950 r. Zaproponowano mu etat lektora j. łacińskiego w UJ i wyraził zgodę. To była wielka strata dla limanowskiego liceum. Takich pedagogów spotyka się bardzo rzadko.

Mistrzem słowa i artystką w swoim zawodzie była p. prof. Eugenia Naturska, z którą zgłębialiśmy tajniki historii literatury polskiej. Po sprawdzeniu wiedzy ogólnej uczniów, która z uwagi na powojenny czas i różne środowiska pochodzenia młodzieży była raczej mizerna, zaczęła od podniesienia stanu ortografii i czytelnictwa.

Wyznaczonego miesiąc na uzupełnienie braków i żelazna konsekwencja uczącej przyniosły nadzwyczajne efekty. Rozwinęła w uczniach samodzielność, a wybrane metody pracy pozwoliły na doskonałą interpretację utworów, ich analizę i wysnuwanie właściwych wniosków. Z każdym rokiem było coraz lepiej, choć należy przyznać, że „nieroby i kujony” miały z panią profesor ciężkie życie. Nie można było niczego „wykuć” na pamięć, oprócz cytatów, bo te uwielbiała i często wykorzystywała w swoich wykładach, argumentując słuszność rozwijanych zagadnień.

Efekty pracy pani profesor mogłam dokładnie ocenić na podjętych studiach polonistycznych. Radziłam sobie wyśmienicie z analizą literacką, rozumieniem wartościów poezji i oceną ponadczasową dzieł literackich.

Pani prof. była bardzo dobrym, ale znerwicowanym człowiekiem, na co wpłynął pobyt w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu - Brzezince. (W obozie, był również Jej ojciec, który zmarł w kilka miesięcy po wyzwoleniu i spoczął na cmentarzu w Limanowej). Pani prof. kochała młodzież, opiekowała się harcerstwem (była hufcową). Odeszła z naszego Liceum nagle w ciągu wakacji w 1950 r. Przeniosła się do pracy w Łodzi, gdzie otrzymała mieszkanie (w Limanowej - Sowlinach mieszkała kątem w internacie razem z uczennicami Liceum Pedagogicznego, którymi się opiekowała). W Łodzi mogła ukończyć rozpoczęte jeszcze we Lwowie studia doktoranckie.

Z Limanowej „wzięła” z sobą absolutną sierotę (całą jej rodzinę wymordował okupant). Otoczyła ją opieką, pomogła skończyć studia ciesząc się, że będzie jej pomocą w starszych latach. Los jednak bywa perfidny. Młoda kobieta zmarła, licząc niewiele ponad 30 lat. Pani prof. Eugenia Naturska odwiedzała Limanową przynajmniej raz w roku, by pomodlić

się i złożyć kwiaty na grobie ojca. Brała też udział w zjazdach maturalistów naszej klasy (r. 1951) i wycieczkach wakacyjnych organizowanych przez p. prof. Józefa Staniszwskiego. Odeszła nagle w czasie leczenia sanatoryjnego w Krynicy. Pogrzeb odbył się w Łodzi, ale jej wierny uczeń i „fan” Leopold Florek spowodował przeniesienie jej doczesnych szczątków z Łodzi do Limanowej. Spoczęła razem z ojcem w skromnej mogile znajdującej się po lewej stronie dróżki biegnącej od „kaplicy Marsów” do żołnierskiego cmentarza.

Należy także poświęcić nieco uwagi profesorom religii. Pierwszym był ks. prof. Stanisław Pycior. Nauczał tego przedmiotu tylko kilka miesięcy. Był typem erudyty, dlatego władze kościelne skierowały go na studia doktoranckie i opuścił nasze miasto.

Jego godnym następcą, wspaniałym pedagogiem i opiekunem ubogiej młodzieży był ks. prof. Władysław Ryś - człowiek wszechstronnie utalentowany.

Bardzo interesująco przedstawiał historię Kościoła, uczył dogmatyki i apologetyki, rozwijał zainteresowania krajoznawcze wychowanków, wpajał miłość do ojczyźnego kraju, a szczególnie do polskich gór i tego skrawka ziemi, który nazywa się Małą Ojczyzną każdego. Uczył kultury życia codziennego, zachowań towarzyskich, zastępując dopiero później wprowadzone godziny wychowawcze, a wszystko to czynił jakby mimochodem na lekcjach religii, przerwach międzylekcyjnych, wycieczkach i różnych niespodziewanych okazjach. Ksiądz profesor troszczył się o rozśpiewanie młodzieży. Przychodził na lekcje z fisharmonią i zawsze wygosponarował kilka minut, by nauczyć nowej pieśni. Zorganizował też potężny chór (100-120 osób) występujący na różnych uroczystościach. Był zawsze z młodzieżą. Dla najuboższych uczniów szukał bezpłatnych stancji, zabiegał w „Caritasie” o ciepłą odzież dla nich, pomagał w dostaniu się na studia (KUL), a wszystko to czynił tak, że poza zainteresowanymi nikt nie wiedział. Po zakończeniu pracy w Liceum w 1951 r. (był bardzo „niewygodny” dla władz politycznych) i podjęciu pracy duszpasterskiej w innych miejscowościach, zapraszany przez byłych uczniów zawsze przyjeżdżał na zjazdy organizowane z okazji kolejnych rocznic maturalnych.

Ksiądz prof. Władysław Ryś pozostał w przyjaźni z panem prof. Józefem Staniszwskim, który przybył do limanowskiego Liceum w 1947 r. Uczył matematyki i fizyki, był wymagającym, ale sprawiedliwym pedagogiem. Miał bardzo szerokie

horyzonty myślowe. Uczniów traktował bardzo poważnie i rozmawiał z nimi na różne tematy, szczególnie w czasie wycieczek krajoznawczych, które uwielbiał i urządził zwykle w niedziele i „obowiązkowo” w czasie wakacji. Razem z Nim uczniowie poznali najpierw najbliższe okolice, a potem Beskid Wyspowy, Wysoki, Tatry i Pieniny.

Kochał góry i uczył tej miłości młodzież, zwracając jej uwagę na piękno krajobrazu. Dokumentował jego urodę swoim nieodłącznym aparatem. Były to rzadkiej piękności zdjęcia czarno-białe.

W ten sposób zatrzymał w kadrze, oprócz zjawisk przyrodniczych, także wiekowe kapliczki, przydrożne krzyże i wiele zabytkowych budowli, które potem pochłonął czas.

Przeminał ON, jak przemija epoka, ale zdjęcia zamieszczone w wydanym albumie pozostały. Chciałabym jeszcze wspomnieć o p. prof. Jadwidze Żuławskiej z oddaniem przygotowującej młodzież na studia z zakresu nauk przyrodniczych i medycynę oraz o p. prof. Wilhelmie Taborze. Pan Wilhelm Tabor najpierw był profesorem geografii i chemii, a potem władze oświatowe powierzyły Mu funkcję dyrektora Liceum. Z powodzeniem rozwijał zainteresowania uczniów. Starał się wciągać ich do dyskusji na różne naukowe tematy. Prowadził kółko geograficzne propagujące czytelnictwo dotyczące osobliwości różnych krajów, życia ludów, ich pasji, zajęć, kultury.

W Liceum nie było „plastyki” jako przedmiotu, ale istniało kółko plastyczne, którym w początkach istnienia szkoły opiekował się p. prof. Tadeusz Ocieпка. Nie wiem dlaczego, ale należeli do niego tylko chłopcy, nasi koledzy. Ci, którzy potem wybrali studia politechniczne, do tej pory wyrażają się o swoim Profesorze w samych superlatywach. Dużo Mu zawdzięczają, bo nauczył ich wielu podstawowych rzeczy np. pisma technicznego, powiększania lub pomniejszania figur, osób, twarzy, co mogli potem zastosować praktycznie. Uczył ich stosowania perspektywy i prawdziwego, realnego spojrzenia na dzieło artystyczne. Warunki nauczania w pierwszych powojennych latach w limanowskim Liceum Ogólnokształcącym były trudne, ale zapisał tak ze strony grona pedagogicznego, jak i młodzieży - ogromny. To pomagało przetrwać złe czasy, nadrobić braki i przygotować lepszy start do dalszego życia.

Na poprawę warunków lokalowych trzeba było czekać kilkanaście lat, aż do oddania do użytku nowego obiektu szkolnego, ale nie był to czas stracony.



Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum mieściło się w budynku porafineryjnym w Sowlinach.



Prace porządkowe przed budynkiem szkoły - 1945 rok.



Żeńska drużyna gimnazjum z opiekunką *Eugenią Naturską* – w mundurze pierwsza z lewej, dalej: *Maria Krasuń* – drużynowa, w kolejnych rzędach stoją: w pierwszym - *Danuta Korczyńska*, *Halina Rosenbeiger*, w drugim - *Józefa Mikołajczyk*, *Teresa Mikula*, *Dorota Czeczótka*, w trzecim - ??, *Stanisława Jarońska*, *Janina Szewczyk* - 1947 rok.

W większości tamci maturzyści podejmowali studia, pomyślnie je kończyli, stawali w wybranych miejscach pracy i swoimi osobowościami świadczyli, że wzięli sobie do serca wskazania profesorów z limanowskiego Liceum.

Byli jak ich patron - WŁADYSŁAW ORKAN - prawymi, twardymi ludźmi z charakterem.

Dyrekcji oraz Gronu Profesorskiemu z okazji Jubileuszu 70 - lecia utworzenia I Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana w Limanowej należy z serca podziękować za trud włożony w nauczanie i wychowanie młodzieży, za przygotowanie jej do dalszych studiów, za przekazywanie drogowskazów do najtrudniejszej drogi - DROGI ŻYCIA, a równocześnie życzyć, by szkołę w dalszym ciągu opuszczali absolwenci, którzy w późniejszym życiu wzbogacą polską naukę i kulturę wybitnymi osiągnięciami.

Uczniowie tamtych lat podobnie jak obecnie oprócz spraw związanych z nauką robili tysiąc innych rzeczy. Pozostał po nich ślad jak chociażby humorystyczne wspomnienia Zofii Wiśniewskiej (Wójtowicz – rocznik matury 1951) zatytułowane „Nasze wspólne lata 1945-1951”. Jeden z takich szkolnych epizodów prezentujemy poniżej, kolejne zaś przedstawimy w następnych numerach „Echa Limanowskiego”.

Skomplikowany jak Ural w środkowej części

Wydarzenie miało miejsce w drugiej klasie gimnazjalnej. Geografii uczył nas p. prof. Tadeusz Pikiewicz, który słynął z ciętego języka. Lubił czasem dokuczyć „do żywego”, gdy nieszczęsnemu uczniakowi coś się powiedziało „nie tak”.

Właśnie odpowiadała Marysia Dębska. Miała scharakteryzować Ural, ale szło jej jak z kamienia. Dodać należy, że nie mieliśmy podręczników, a jedynie zapisy w zeszytach.

Profesor zachęcał:

- No, no popatrz na mapę i powiedz, jak i ten Ural jest w środkowej części.

- Taki więc skomplikowany – brzmiała odpowiedź.

Belfer zdębiał, ale zapytał jeszcze:

- A co to znaczy?

Tego jednak delikwentka nie umiała wytłumaczyć. Odtąd, gdy tylko występowały jakieś trudności czy zawiłe sprawy, zwykło się mówić:

- Skomplikowany jak Ural w środkowej części.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”



Wędrówka na przełęczy Sentinel Pass (tuż przed spotkaniem ze strażnikiem przyrody) na tle Dziesięciu Szczytów (fot. D. Jaworska).

PRZYJACIELSKIE GÓRY SKALISTE I NIE TYLKO...

Andrzej Kulig
Danuta Jaworska

Danuta i Darek Jaworscy pojawili się na łamach „Echa Limanowskiego” po raz pierwszy w majowo-czerwcowym numerze w 2007 r.¹ Blisko 8 lat temu odbyliśmy razem niezapomnianą wyprawę w argentyńskie Andy na najwyższy szczyt Ameryki Południowej. Z tej wyprawy przywiozłem, oprócz fantastycznych wrażeń, bardzo sympatyczną znajomość, przeradzającą się z czasem w przyjaźń. W 2014 roku przygotowywałem wyprawę do parków narodowych w Stanach Zjednoczonych. Pojawiła się okazja do kilkudniowego spotkania w Vancouver z D&D, jak nazwaliśmy w Argentynie Dankę i Darka. Ostatecznie nic z tych „amerykańskich planów” nie wyszło. W tych okolicznościach, 17 marca ub.r. Danka zaproponowała w e-mailu: „... Skoro nie wyszły kaniony USA, to może rozpatrzysz przyjazd tu do nas na dłużej niż tydzień... Tak powiedzmy na 2 tygodnie lub nieco więcej. Do oryginalnego programu moglibyśmy wtedy dodać Góry Skaliste (bardzo piękne!), na które dobrze byłoby mieć 8-10 dni.” I tak się zaczęło.

Wolny czas jest zbyt cenny, by podróżowanie pozostawić przypadkowi.

Warszawa i Londyn – Vancouver on line

Planując wyprawę w Góry Skaliste, pamiętam o 10 przykazaniach zdefiniowanych przed wyprawą na Kilimandżaro. Kupuję solidne buty, zabieram dobry aparat i pamiętam o znaczeniu towarzystwa. Danuta i Darek, z którymi wybieram się w Góry Skaliste, to doświadczeni turyści górscy i jak się okaże, żeglarze. Andyjska wyprawa na Aconcaguę w Ich towarzystwie była przyjemnością. Dwunastogodzinny lot do Kanady, z krótką przesiadką w Londynie,

to dobry czas na „opadnięcie kurzu” po bieżących stołecznych sprawach i wewnętrzne przygotowanie na przygodę. Po wylądowaniu natychmiast zostaję „przechwycony” przez D&D. I zamiast do domu jedziemy do... Richmond. Odwiedzamy historyczną i turystyczną dzielnicę Steveston. Następnie udajemy się do „klimatycznej” wioski Finn Slough, gdzie Finowie osiedlali się w domkach zbudowanych na wodzie, które władze lokalne chcą teraz likwidować. W domu pojawiajemy się dość późno. Idąc spać ok. 12 w nocy, kończy się moja, licząca 33 godziny, doba.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Po paru latach wstępnych planów pójścia z Andrzejem w Kanadyjskie Góry Skaliste, 17. lipca 2014 r. nadszedł dzień wyruszenia na tę wyprawę. Zaczynamy od pakowania samochodu, co musi być zrobione logicznie, aby potem nie szukać na przykład szczoteczki do zębów wśród kubków do picia. Ponieważ będziemy się zatrzymywać głównie na polach namiotowych, bierzemy mnóstwo szpargałów typu „przydasie”. No i prowiant, składający się z puszek oraz produktów nie psujących się łatwo. Później dokupimy świeże wiktuały. Po około godzinie wszystko jest strategicznie upakowane i wyruszamy.

Początkowo jedziemy na wschód, w stronę Hope, autostradą #1, jedyną w Kanadzie, która łączy wybrzeża wschodnie i zachodnie. Nie jest to autostrada „z prawdziwego zdarzenia”, z jakich korzystamy obecnie w Polsce, ponieważ na dość dużych odcinkach posiada tylko po jednym pasie w każdą stronę. A ponieważ prowadzi nas przez tereny górzyste, jest dość kręta. W takich warunkach wyprzedzanie kolumny ogromnych ciężarówek staje się nie lada zadaniem dla kierowcy.

PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE

Droga staje się coraz bardziej kręta i górzysta. Zbliżamy się do Gór Skalistych. Po dziesięciu godzinach ukazuje się nam prawdziwa niespodzianka - pięknie odsłonięta i oświetlona zachodzącym słońcem Mount Robson - najwyższy szczyt Kanadyjskich Gór Skalistych (3.954 m n.p.m.), zazwyczaj spowity jest w chmurach, dlatego dzisiejszy widok jest niespodzianką. Otaczająca go dolina to cel naszego czterodniowego trekkingu do

miejsz biwakowych i kempingów wędrówka staje się trudniejsza. Widać że przejście od miejskich wygod do pełnego interioru jest dość gwałtowne. Coraz bardziej mokrzy i zmęczeni pniemy się w górę doliny. Na szlaku praktycznie pusto. Na całej trasie mijamy chyba 4 backpackerów. Nie licząc tych ukrytych w namiotach. Na miejscu biwakowym pojawiają się po ośmiu godzinach wędrówki. Kontemplowanie widoków pozostawiamy na drogę powrotną, licząc, że pogoda będzie łaskawsza. W deszczu rozkładamy namiot. Na dodatek bezobsługowe schronisko (shelter) na kempingu jest nieczynne z powodu rozbudowy. Po szybkiej kolacji zmęczeni kładziemy się spać. Miło jest zasypiać w leśnej ciszy, nad brzegiem jeziora, do którego wpada jezioro lodowca Robson.

Rano, nie czekając na zmianę pogody, wyruszamy na całodzienny trekking. Od wodospadów Toboggan Falls mamy do wyboru różne trasy. Wybór pada na wspinaczkę do jaskini. Potem wędrujemy grzbietem góry aż do granicy Kolumbii Brytyjskiej z sąsiednią Albertą. Po przeciwległej stronie doliny rzeki widać Mount Robson - w końcu w słońcu - oraz jezioro jego lodowca, do których planujemy się zbliżyć jutro. Dzisiaj podziwiamy jeszcze piękną tęczę, która rozwinęła się przed nami w tej deszczowo-słonecznej pogodzie.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Trekking Snowbird Pass

Dzień wyjścia na Snowbird Pass zaczyna się pogodnie. Po szybkim śniadaniu oraz spakowaniu plecaków wyruszamy w stronę, z której wczoraj przybyliśmy. Droga początkowo wiedzie przez deltę rzeki. Po około godzinie zaczynamy piąć się granią w górę. Po prawej stronie widzimy dość strome zbocze moreny bocznej, która schodzi w dół do jeziora o mlecznym kolorze. Tu wpływają topniejące wody lodowca Robson (stąd mleczny kolor), którego ogrom jawi się nieco wyżej, stąd widoczny jest w całej okazałości. Spływa z niewidocznego dla nas pola lodowego i wije się wstęgami w dół, tworząc efekt autostrady, tak charakterystycznej dla lodowców. My pniemy się po jego lewej stronie i na pewnej wysokości napotykamy łańcuchy i dość strome schody. Krajobraz zaczyna przypominać księżycowy, albowiem



Wjazd do Parku Prowincjonalnego Mt Robson - w tle najwyższy szczyt kanadyjskich Gór Skalistych (fot. A. Kulig).

W Hope kierujemy się na północny-wschód na autostradę #5. Początek jej stanowi Coquihalla, tym razem autostrada z prawdziwego zdarzenia, oferująca dwa, a nawet trzy pasy w tym samym kierunku. Do 2008 roku był to odcinek płatny, ale po spłaceniu kosztów jej budowy (ok. 850 mln dolarów) opłata ta została zniesiona. Tutaj można przycisnąć nieco pedał gazu, choć dopuszczalna maksymalna prędkość to 120 km/h. Ale po 186 kilometrach autostrada zmienia się znowu w tradycyjną, kanadyjską i trzeba nieco zwolnić.

Kamploops wita nas szarą zawiesiną dymów. Powodem są pożary okolicznych lasów, powszechne tu w sezonie letnim, gdy temperatura dochodzi do 40° C, czego nie wytrzymała ściółka leśna. Tuż za Kamploops zatrzymujemy się na przydrożnym miejscu na piknik. Po zjedzeniu lunchu i rozprostowaniu nóg mkniemy dalej na północ. Musimy jeszcze nabrać paliwo, bo właśnie minęliśmy znak ostrzegawczy, że „następna stacja benzynowa za 110 km”, co też jest normą w odludnych miejscach Kanady.

Berg Lake, który będziemy zaczynać jutro. Po zrobieniu zdjęć jedziemy na pobliski kemping Robson Meadows, robimy namioty i idziemy spać. Oddaję głos Andrzejowi.

Podójście do Berg Lake + Toboggan Falls

Nasz wyjazd ma charakter samochodowo-trekkingowy. Po dłuższej jeździe samochodem pora pomyśleć o wędrówce. Aby wyruszyć w kierunku Berg Lake, potrzebna jest rezerwacja miejsca na kempingu. Centrum informacji otwierają o godz. 8⁰⁰. W sobotę 19 lipca 2014 r., okazuje się, że nie wszystkie kempingi są dostępne. Wybieramy Berg Lake, odległy o 21 km. Spakowani na trekking ruszamy ok. godz. 12⁰⁰. Czeka nas kilka godzin wędrówki i... dość szybko zaczyna padać deszcz. Bardzo przydatna okazuje się kupiona jeszcze w Warszawie „pielgrzymkowa” peleryna. Idąc w deszcz przez las, w otoczeniu pięknych wysokich szczytów, czułem się jak pielgrzym. W miarę mijania kolejnych

Wchodzimy w teren skalisty, wolny od jakiegokolwiek roślinności. Po około godzinie szlak zakręca w lewo i zaskakuje nas prześliczną łąką z wijącym się górskim strumieniem. Zatrzymujemy się na lunch i po krótkim odpoczynku ruszamy w górę, w stronę dobrze już widocznej przełęczy Snowbird. Po drodze mijamy dużo świstaków, które lubią śmiesznie stać słupka i nasłuchiwać, czy nie nadchodzi jakieś niebezpieczeństwo. W oddali widzimy stadko pasących się kozic, ale nie dają się podejść zbyt blisko. Podczas ostatniej fazy podejścia pogoda załamuje się i teraz pniemy się w górę przy dość silnym wietrze i w deszczu. Czy aby będzie z przełęczy coś widać...? Niepewni efektu dochodzimy do grani, spoglądamy w dół i widzimy... olbrzymie pole lodowe! Wrażenia są niepowtarzalne, magiczne, spotęgowane przez silny wiatr. Napawamy się nimi przez długą chwilę. Chciałoby się tu zostać dłużej, ale jest już późno. Schodzimy tą samą drogą. Przy zejściu mamy możliwość podziwiać ogrom lodowca, który rozciąga się przed nami jak na dłoni. Nieco niżej widzimy piękną dolinę, w której mamy obozowisko. Po dziewięciu godzinach wędrówki docieramy do namiotu zmęczeni, ale zadowoleni z trekkingu. Jeszcze tylko podgrzanie zupy „że łycha stoi” i udajemy się w objęcia Morfeusza.

Ku dolinie rzeki Fraser

Tuż po przebudzeniu biegniemy nad brzeg jeziora, aby zobaczyć przepiękne odbicie okolicznych gór w jego tafli. Podziwiamy całkowicie odsłonięty szczyt Mount Robson. Szykujemy się już na zejście 21-kilometrowym szlakiem, który pokonaliśmy 3 dni temu. Zwijamy namiot i ruszamy w drogę powrotną. Idzie się dużo szybciej i łatwiej niż 3 dni temu, bo i plecaki lżejsze ☺, i słońce! Bujamy się na podwieszonym mostku, mijamy kolejno wszystkie pola kempingowe. Czerokilometrowy stromy odcinek, tak mizerny pod górkę, teraz mijamy bez problemu. Nadal próbujemy znaleźć „bear pole” (słupy z linką do wciągania worków z żywnością w celu zabezpieczenia przed niedźwiedziami), ale, pomimo wyraźnych znaków, bezskutecznie. Okazuje się, że wszystkie zostały zamienione na metalowe skrzynki, głównie z powodu łatwości obsługi. W jednym ze schronisk jemy lunch, składający się m.in. z paprykarza szczecińskiego (w końcu Darek pochodzi ze Szczecina) oraz zupy

„Gorący kubek”. Ostatni odcinek dłuższy się. Te 75 km, przebyte w ostatnich czterech dniach, dają o sobie znać. Wreszcie docieramy do samochodu. Cóż to za ulga zdjąć buty trekkingowe i założyć lekkie sandały! Szybko podjeżdżamy do biura informacyjnego przy autostradzie i rezerwujemy na najbliższą noc domek w pobliskim ośrodku wypoczynkowym. Okazuje się to znakomitym pomysłem, bo mamy możliwość rozwieszenia mokrego namiotu, dosuszenia śpiworów i doprowadzenie do porządku całego sprzętu. No i wzięcia ciepłego prysznica, pierwszego od czterech dni, oraz wypłukania się w normalnych łózkach. Oddaję głos Andrzejowi.

White water rafting + Jasper

Kolejny dzień ma mieć charakter odpoczynkowo-relaksowy w drodze do miejscowości Jasper. Bungalowy są zlokalizowane nad brzegiem rzeki Fraser. Jest to najdłuższa, licząca 1400 km, rzeka Kolumbii Brytyjskiej, która w Vancouver, poprzez cieśninę Georgia, wpada do Oceanu Spokojnego. Okazuje się, że administrator „Mount Robson Lodge” jest także organizatorem „White water rafting”, czyli górskich spływów pontonowych. Międzynarodowa skala trudności raftingu ma 6 stopni. Po lekturze książki A. Fiedlera pt. „I znowu kusząca Kanada”², w której opisana została rzeka Fraser, upewniam się co do stopnia trudności spływu. „Trójka”. Coś w sam raz dla mnie po górskiej wędrówce. D&D zgadzają się przesunąć godzinę wyjazdu do Jasper, więc rezerwuję miejsce w pontonie i umawiam się na spływ na następny dzień. We wtorek rano zgłaszam się w umówionym miejscu w celu pobrania odpowiedniego stroju i dołączenia do grupy. Po krótkim instruktarzu spuszcza pontony na wodę w miejscu, w którym rzeka spokojnie płynie w szerszym korycie. Płynąc w dół rzeki, mogę jedynie przez chwilę podziwiać panoramę Mount Robson. Później wartki nurt skupia uwagę siedmioosobowej „załogi” i sternika na wiosłach. Po pokonaniu bystrzy wypływamy na spokojniejszy odcinek rzeki, gdzie można popływać.

Zrelaksowany wracam do bungalowu pakować resztę bagażu i wyruszamy w drogę, do malowniczego miasteczka Jasper, położonego w prowincji Alberta. Kanadyjczycy nie mają bardzo wielu

autostrad, ale na głównej transkanadyjskiej nie ma bramek i „korków”, mimo że jak mówią miejscowi: w Kanadzie są dwie pory roku: zima i sezon prac drogowych. Gdy po południu meldujemy się na miejscu, pozostaje nam kilka spraw organizacyjnych do załatwienia, ale wpadamy na chwilę na dworzec kolejowy, aby obejrzeć kultowy „Rocky Mountaineer”, który właśnie podjechał do peronu, a przy którym rozścielany jest mały dywanik dla wysiadających pasażerów.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Columbia Icefield

Następny dzień wita nas słońcem. I bardzo dobrze, bo czeka nas jazda autostradą z Jasper w kierunku kanadyjskiego „Zakopanego” - Banff. Icefield Parkway to ponad 200 km drogi, wiodącej przez dwa parki narodowe Gór Skalistych: Jasper National Park oraz Banff National Park. Oferuje tak spektakularne widoki, że na kolejnym przystanku Andrzej komentuje: „ależ tu się w ogóle nie da jechać!”. I nic dziwnego, bo widoki gór, przekraczających nierzadko trzy tysiące metrów, robią niesamowite wrażenie. Dziś mamy do pokonania ok. 100 km, albowiem naszym celem jest Glacier Discovery Centre - turystyczny ośrodek, położony tuż przy Columbia Icefield z lodowcem Athabasca. Jest też nowa atrakcja, otwarta dopiero od kilku tygodni: Skywalk, co można przetłumaczyć na „podniebny spacer”. Wszyscy jesteśmy tego ciekawi, więc kupujemy bilety i pakujemy się do autobusu, który po 10 minutach wysadza nas przy bramie do platformy, zawieszanej nad kanionem górskiej rzeki Sunwapta. Otrzymujemy słuchawki z nagraniem informacji, których będziemy słuchać indywidualnie w miarę przesuwania się do kolejnych punktów ekspozycji. Spacer zaczyna się od długiej promenady z różnymi popularnonaukowymi ekspozycjami. Jedną z nich opisuje mechanizm powstawania lodowca, inną pokazuje sylwetki i tropy zwierzyzny, którą można spotkać w tych okolicach, inną opisuje całe przedsięwzięcie od strony inżynierskiej. A jest to konstrukcja doprawdy imponująca! Pod sam koniec promenada przechodzi w pewnego rodzaju podkowę, zawieszoną na wysokości 280 m nad kanionem. Ma 30 m długości i ok 2 m szerokości, a jej podłoga zrobiona jest ze szkła! Gdy na nią wchodzimy, kolana niektórych uczestników spaceru zaczynają odmawiać

posłuszeństwa. Myślmy, w końcu to 175 ton stali i 5 ton szkła! Aby utrzymać całość, w skałę zostały wkute 34 stalowe pręty, na długość ok. 16 metrów każdy. Całość musi być dobrze amortyzowana, aby konstrukcją nie huśtało, np. pod wpływem wiatru lub pochylenia się zwiedzających. I faktycznie cel został osiągnięty, bo po oswojeniu się z ideą „podniebego spaceru” możemy zacząć podziwiać widoki. Pod stopami widzimy rzekę Sunwapta, wijącą się na samym dole kanionu oraz formacje skalne, które wyźłobiła. Przed nami rozciąga się widok na Columbia Icefield, mieniący się w słońcu lodowiec o grubości ok. 100 metrów. Podziwiamy widoki, idąc powoli zawieszoną w powietrzu podkową i słuchamy informacji ze słuchawek. Potem powrót do autobusu, którym wracamy pod Columbia Icefield.

W Glacier Discovery Centre zjadamy coś na szybko i ruszamy na poszukiwanie miejsca na dzisiejsze spanie. Znajdujemy je na polu kempingowym Columbia Icefield, zaopatrzoną nie tylko w miejsce na rozbicie namiotu i rozpalenie ogniska, ale również w altanę ze stołami i piecykami, pozwalającymi na wysuszenie sprzętu i ogrzanie się. Pod namiot wybieramy miejsce z widokiem na lodowiec i ruszamy na dalsze zwiedzanie.

Teraz mamy możliwość obejrzenia lodowca Athabasca. Idziemy pod jego dolny jęzor. Mijamy tabliczki z oznaczonymi latami. Pokazują one miejsca, do których dochodziło czoło lodowca w różnych latach. Pierwsza data to rok 1908. Z niedowierzaniem patrzymy na dzisiejsze czoło, oddalone o ponad 2 km! Potem kolejne lata, każda z tabliczek oddalona jest od poprzedniej o kilkaset metrów. Podążamy wzdłuż drogi i dochodzimy do moreny czołowej. Widzimy olbrzymie tablice, ostrzegające o niebezpieczeństwie, jakie czyha na potencjalnych amatorów spaceru po lodowcu, z nadmienieniem wypadków śmiertelnych. To na nas działa, wszak wiemy o szczelinach, które mogą być zakryte tylko niewielką warstwą śniegu, oglądamy więc czoło Athabasca z oddali. W świetle zachodzącego słońca lody wyglądają intrygująco. Wieje od nich silny wiatr, który powoduje, że temperatura waha się w okolicach 5 stopni C. Mimo końca lipca upału nie ma ☺.

Po powrocie do Centrum zaszywamy się w dość eleganckiej, jak na to

pusztkowie, restauracji i zamawiamy kolację, którą spożywamy, podziwiając lodowiec Athabasca, teraz coraz bardziej spowity w ciemności. Na życzenie Andrzeja wspominamy długą drogę z Polski na zachodnie wybrzeże Kanady – do Vancouver. Oddaję głos Andrzejowi.

Lake Louise

W Kanadzie wciąż słyszę o niedźwiedziach. W Górach Skalistych rzucają się w oczy wszędobylskie tablice informacyjne i ostrzegawcze, jak zachować się, aby nie wejść w drogę „misiowi”. I tak postępujemy. Żywność zabezpieczona, odpady starannie zebrane i umieszczone w bezpiecznych pojemnikach. Ale z drugiej strony, historie z niedźwiedziami są jak opowieści o potworze ze szkockiego jeziora Loch Ness. Wszyscy wiedzą, że jest, lecz nikt go nie widzi. Gdy w drodze do Lake Louise widzimy tłum ludzi na autostradzie i trzeba gwałtownie hamować, okazuje się, że życzenia się spełniają. Po pobliskim stoku góry spaceruje, albo lepiej powiedziec - skrada się niedźwiedź. Odległość jest bezpieczna, więc duża gratka dla podróżujących, aby zrobić zdjęcia.

Lake Louise, nazywane „*Jewel of the Rockies*”, położone jest w małej lodowcowej dolinie, otoczonej malowniczymi, pokrytymi lodowcami szczytami. Nasz plan na piątek 25 lipca jest typowy – udać się na całodzienną wędrowkę jednym ze szlaków wytyczonych wokół jeziora. Najpierw wstępne: „wow”, och! i ach!, pamiątkowe zdjęcia, a następnie obok znanego ogromnego, luksusowego hotelu The Fairmont Château Lake Louise, który jest położony na jednym z krańców jeziora, wchodzimy na górską ścieżkę. Widoki wspaniałe. Obserwuję niezwykle efekty procesów erozyjnych. W miarę zwiększania się wysokości zmniejsza się ilość i wysokość roślin, przybywa kamieni i zmniejsza się odległość do lodowców. Przyznaję, lubię łączyć z nimi poobcować. Nie tylko dla ochłody. Wciąż czytam o różnych teoriach na temat ocieplania klimatu, którego jednym z efektów jest podobno topnienie lodowców. Nie wiem tylko, czy lodowce to wiedzą. Fakt, ich zasięgi sukcesywnie się zmniejszają. Moreny lodowcowe czołowe i boczne oddalają się od granic współczesnych lodowych jęzorów. Ale tak dzieje się od ponad stu lat, gdy jeszcze trudno było mówić o globalnych efektach uprzemysłowienia i urbanizacji.

Może kiedyś wrócę do tego tematu, ale teraz skupiam się na wędrowce, bo staje się ona coraz trudniejsza. Na dodatek Danka wypatrzyła niedźwiedzie ślady (odchody). Wzmogła tym naszą czujność i z jeszcze większym zapalem przyglądamy się zagajnikom i leśnym gęstwinom. Na parking schodzimy już po zapadnięciu zmroku, jako jedni z ostatnich turystów. Jutro czeka nas ciąg dalszy serialu „*Piękno górskich jezior*”.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Moraine Lake

Moraine Lake każdemu Kanadyjczykowi kojarzy się przede wszystkim z... banknotem dwudziestodolarowym, bowiem do niedawna jego wizerunek widniał na tym nominale. I nic dziwnego, bo to przepiękne oczko wodne z dziesięcioma szczytami dookoła jest kwintesencją Gór Skalistych. Gdy powierzchnia jeziora jest gładka i lśniąca (tafla), co zdarza się zazwyczaj bardzo wcześnie rano lub tuż po zachodzie słońca, szczyty odbijają się perfekcyjnie w jego toni, co wygląda jak lanszaft. Dlatego też jest to mekka turystów, zwłaszcza że można tam dojechać samochodem. My rozpoczynamy jednak bardziej ambitnie, idziemy na jedenastokilometrowe przejście Valley of the Ten Peaks. Szlak zaczyna się od ostrzeżenia o niedźwiedziach w okolicy i nakazie przebywania w grupach co najmniej czteroosobowych. „Kolejno odlicz” wykazuje brak jednej osoby. No cóż... Idziemy śmiało, bo wokół nas są inne grupki, też niekoniecznie zgodne z ostrzeżeniem. Będziemy pohukiwać, aby odstraszyć ewentualnych intruzów.

Pierwszy etap to zwykły szlak w lesie, zygzakujący miarowo pod górę. Ale po półtorej godzinie dochodzimy do płaskowyzu z łąkami i dwoma niewielkimi stawami. Odwracamy się w stronę dziesięciu szczytów z dwudziestodolarówki i widzimy widok wprost zapierający dech! Góry pokryte wiecznymi śniegami, na jednej widać jęzor lodowca, a to wszystko skąpane w promieniach słońca. Podziwiamy to cudo przez dłuższy czas, po czym kierujemy się w stronę przełęczy Sentinel Pass, prowadzącej do sąsiedniej doliny Paradise Valley (Rajska Dolina).

(ciąg dalszy na stronie 34)

X Jubileuszowa Gala Przedsiębiorczości

Stanisław Ociepka



Jerzy Miller - wojewoda krakowski (pierwszy z prawej) uhonorował „Krzyżami Zasługi”: Eugeniusza Wojaka, Józefa Oleksego, Wiesława Kłusia, Grzegorza Michurę, Romana Sułkowskiego, Marka Wronę, Zbigniewa Szubryta, Henryka Jędrzejka, Kazimierza Wojtasa, Jana Tokarczyka.

Po raz dziesiąty, 14 listopada w Limanowskim Domu Kultury świętowali limanowscy przedsiębiorcy. Uroczysta Gala Przedsiębiorców ma na celu podkreślenie roli i znaczenia firm, które działają w regionie i mają wpływ na gospodarczy rozwój powiatu limanowskiego. Podczas tej uroczystości promowane są firmy osiągnące najlepsze wyniki ekonomiczne z zachowaniem zasad etyki biznesu oraz osoby, które swym działaniem przyczyniają się do tworzenia sprzyjających warunków dla rozwoju przedsiębiorczości.

Jubileuszowe spotkanie zgromadziło znamienitych gości: *Elżbietę Bieńkowską*, komisarz UE; *Władysława Kosiniak Kamysza*, ministra Pracy i Polityki Społecznej; *Stanisława Hodorowicza*, senatora RP; *Jerzego Millera*, wojewodę małopolskiego; *Marka Sowę*, marszałka województwa małopolskiego, posłów do sejmiku RP, przedstawicieli samorządów z całego powiatu, a przede wszystkim przedsiębiorców.

Organizatorem Limanowskiej Gali Przedsiębiorczości byli: Starostwo Powiatowe w Limanowej, reprezentowane przez starostę **Jana Puchałę**, Regionalne Stowarzyszenie Przedsiębiorców, reprezentowane przez prezesa **Stanisława Gągałę** oraz Powiatowy Urząd Pracy w Limanowej reprezentowany przez dyrektora **Marka**

Młynarczyka. Honorowy patronat nad X Limanowską Galą Przedsiębiorczości objęli: **Elżbieta Bieńkowska** – komisarz UE ds. rynku wewnętrznego i usług, przemysłu, przedsiębiorczości oraz małych i średnich przedsiębiorstw, **Stanisław Hodorowicz** – senator RP oraz **Marek Sowa** – marszałek województwa małopolskiego.

W hallu Limanowskiego Domu Kultury witała gości kapela regionalna, natomiast sygnał do rozpoczęcia uroczystości dały limanowskie trombity. Uroczystość rozpoczęła się od wręczenia cywilnych odznaczeń państwowych „Krzyży Zasługi”. Uroczystego wręczenia odznaczeń, w imieniu prezydenta Rzeczypospolitej za zasługi w działalności na rzecz społeczności lokalnej dokonali: Jerzy Miller – wojewoda małopolski,

wraz ze Stanisławem Gągałą – prezesem Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorców.

„Złotym Krzyżem Zasługi” odznaczeni zostali: **Józef Oleksy** i **Eugeniusz Wojak**. „Srebrnym Krzyżem Zasługi” uhonorowano: **Wiesława Kłusia**, **Grzegorza Michurę**, **Romana Sułkowskiego** i **Marka Wronę**. Za działalność społeczną i rozwijanie rzemiosła w Polsce, „Srebrnym Krzyżem Zasługi” zostali odznaczeni: **Henryk Jędrzejek**, **Zbigniew Szubryt** i **Marek Wojtas**, zaś za działalność na rzecz społeczności lokalnej „Brązowym Krzyżem Zasługi” uhonorowano **Jana Tokarczyka**.

Główną częścią spotkania było wręczenie tytułu „**Lidera Biznesu**” – wyróżnienia nadawanego przedsiębiorstwom, które produkują lub świadczą usługi najwyższej jakości, solidnie i rzetelnie płacą podatki, zwiększają zatrudnienie i wspierają lokalne społeczności.

W kategorii „*Małe przedsiębiorstwa*” zostało wyróżnionych 13 firm. Nominację otrzymały firmy: „Janosik” Import-Eksport Mariana Ślasyka; Organizacja

i Obsługa Imprez SOUNDLIGHT, Daniela Smotra; Firma Usługowo-Produkcyjno Handlowa GM MEBLE Grzegorza Muchy. Tytuł „Lidera Biznesu” w tej kategorii otrzymała **Firma Usługowo Produkcyjno Handlowa GM MEBLE Grzegorz Mucha**.

W kategorii „Średnie przedsiębiorstwa” wyróżnionych zostało 8 firm. Nominację otrzymały firmy: „Joniec”, Mieczysława Jońca; DEJW, Dawida Biernata; Gospodarstwo Sadownicze, Wincentego Krzyżaka. Statuetkę i tytuł „Lidera Biznesu” w tej kategorii otrzymała firma **DEJW Dawid Biernat**.

W kategorii „Duże przedsiębiorstwa” otrzymały wyróżnienie 3 firmy, a laureatem „Lidera Biznesu” została firma **IMA Zakład Pracy Chronionej Irena Szumańska, Marek Wrona Sp. j.**

Przyznano również wyróżnienia w kategoriach „Inicjatywa Gospodarcza Roku”. Jest to nagroda za wdrażanie ciekawych innowacyjnych projektów. Wyróżnione zostały 2 firmy, a laureatem w tej kategorii została firma **Partner-Alma Stach, Król Sp. j.**

W kategorii „Pracodawca Roku” nagrodę otrzymują te firmy, które w sposób szczególny dbają o tworzenie korzystnych warunków zatrudnienia, także przyczyniają się do rozwoju lokalnego rynku pracy. W tej kategorii nominację otrzymały trzy firmy: Partner- Alma Stach, Król Sp.j.; Bank Spółdzielczy w Limanowej; „WRONA” Sp.j. Barbara Wrona, Jerzy Wrona.

Liderem został **Bank Spółdzielczy w Limanowej**.

Kolejnym wyróżnieniem był medal „Za działalność charytatywną wśród lokalnej społeczności”, nominację otrzymały 3 firmy. Honorowy medal odebrał prezes zarządu firmy **Gold Drop Sp. z o.o. Stanisław Gągała**.

Po raz pierwszy przyznany został przez Radę Powiatu Limanowskiego „**Medal Honorowy**” i tytuł „**Zasłużony dla Powiatu Limanowskiego**”, który został nadany na wniosek starosty limanowskiego Jana Puchały **prof. dr. hab. inż. Antoniemu Tajdusiowi**.

Medal ten jest wyrazem podziękowania i uznania powiatu limanowskiego dla zasług osób nim wyróżnionych. Przyznawany jest w drodze Uchwały Rady Powiatu Limanowskiego za zasługi dla powiatu limanowskiego.



W kategorii „Małe przedsiębiorstwa” zostało wyróżnionych 13 firm. Tytuł „Lidera biznesu” otrzymała Firma Usługowo-Produkcyjno-Handlowa GM Meble Grzegorza Muchy.



W kategorii „Średnie przedsiębiorstwa” wyróżniono 8 firm. Tytuł „Lidera biznesu” otrzymała firma DEJW Dawida Biernata.



W kategorii „Duże przedsiębiorstwa” wyróżnienie otrzymały 3 firmy. Tytuł „Lidera biznesu” otrzymała firma IMA Zakład Pracy Chronionej Irena Szumańska, Marek Wrona Sp. j.



Honorowi goście: *Elżbieta Bieńkowska* - komisarz UE ds. rynku wewnętrznego i usług, przemysłu, przedsiębiorczości oraz małych i średnich przedsiębiorstw, *Stanisław Hodorowicz* - senator RP, *Władysław Kosiniak-Kamysz* - minister Pracy i Polityki Społecznej.



Zaproszeni goście.



Specjalne podziękowanie za wsparcie przedsiębiorczości otrzymała komisarz UE *Elżbieta Bieńkowska*.

Jedną z tradycji uroczystych spotkań przedsiębiorców jest honorowanie tytułem „**Mecenasa Przedsiębiorczości**”, które poprzez swoje działania zawodowe czy społeczne przyczyniają się do tworzenia korzystnych warunków rozwoju przedsiębiorczości, nie tylko na terenie powiatu limanowskiego, ale w skali całego kraju. W tym roku kapituła przyznała honorowy tytuł i statuetkę „**Mecenasa Przedsiębiorczości**” **Władysławowi Kosiniakowi – Kamyszowi**, ministrowi Pracy i Polityki Społecznej.

Jako wyraz wdzięczności za dotychczasową współpracę, zrozumienie potrzeb przedsiębiorców, a także za tworzenie wyjątkowego klimatu dla rozwoju firm wręczono „**Medal – X Jubileuszowej Limanowskiej Gali Przedsiębiorczości**” honorowym gościom: **Stanisławowi Hodorowiczowi** – senatorowi RP, **Jerzemu Millerowi** – wojewodzie małopolskiemu i **Markowi Sowie** – marszałkowi województwa małopolskiego. Ponadto podczas Limanowskiej Gali Przedsiębiorczości, przewodnicząca Rady Miasta Limanowa **Irena Grosicka** uhonorowała tytułem i medalem „**Zasłużony dla Miasta Limanowa**” **Marka Sowę**, marszałka województwa małopolskiego.

Szczególne podziękowania zostały skierowane do **Elżbiety Bieńkowskiej**, byłej wicepremier i minister Infrastruktury i Rozwoju, a obecnie komisarz Unii Europejskiej. Z rąk Jana Puchały, starosty limanowskiego, Tomasza Krupińskiego, przewodniczącego Rady Powiatu Limanowskiego i Stanisława Gągały, prezesa Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorców **Elżbieta Bieńkowska** odebrała pamiątkową statuetkę za wspieranie przedsiębiorczości.

Kończąc X Jubileuszową Galę Przedsiębiorczości prezes **Stanisław Gągała** powiedział m. in.:

*My przedsiębiorcy doskonale wiemy, czego potrzebujemy, aby skutecznie rozwijać przedsiębiorczość. Potrzeba nam wielu rzeczy, ale przede wszystkim – kapitału, dobrego klimatu i życzliwości. Jest z nami osoba, która to wszystko łączy. Dzięki niej kapitał płynął do Polski, Małopolski i do Limanowej. Mam tu na myśli obecną Panią Komisarz UE **Elżbietę Bieńkowską**, osobę której jak zawsze podkreślałem, bliżej jest do gospodarki, niż do polityki. Dlatego jako organizatorzy, ale przede wszystkim przedsiębiorcy chcemy ją dzisiaj uhonorigować i podziękować za to, co robi dla nas i dla całej przedsiębiorczości.*

Fotografie: Stanisław Ociepka, arch. Starostwa Powiatowego

LIMANOWSKA GALA PRZEDSIĘBIORCZOŚCI



Powyżej: Honorowy medal „Za działalność charytatywną wśród lokalnej społeczności” odebrał **Stanisław Gągala** - prezes Zarządu Firmy „Gold Drop”.

Poniżej: **Adam Dudek** - prezes Zarządu Banku Spółdzielczego w Limanowej odbiera tytuł lidera w kategorii „Pracodawca roku”.



X Jubileuszową Galę Przedsiębiorczości świętowali m.in.: (od prawej) **Stanisław Hodorowicz** - senator RP, **Stanisław Gągala** - prezes Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorców, **Elżbieta Bieńkowska** - komisarz Unii Europejskiej, **Władysław Bieda** - burmistrz Limanowej, **Irena Grosicka** - przewodnicząca Rady Miasta, **Jan Puchała** - starosta limanowski, **Tomasz Krupiński** - przewodniczący Rady Powiatu, **prof. dr hab. inż. Andrzej Tajduś**, **Marek Sowa** - marszałek województwa małopolskiego, **Jerzy Miller** - wojewoda małopolski, **Władysław Kosiniak-Kamysz** - minister Pracy i Polityki Społecznej.



Powyżej: Firma Partner-Alma Stach, Król Sp. j. została laureatem w kategorii: „Inicjatywa gospodarcza roku”. Wyróżnienie odebrał **Józef Stach**.

Poniżej: Gratulacje nagrodzonym w X Jubileuszowej Galii Przedsiębiorczości złożyli: **Władysław Kosiniak-Kamysz** (z lewej) i **Jan Puchała**.





Lodowcowe jezioro Moraine w Dolinie Dziesięciu Szczytów na terenie najstarszego kanadyjskiego Parku Narodowego Banff (fot. A. Kulig).

(dokończenie ze strony 29)

I tu napotykamy na niespodziewaną przeszkodę - strażnika przyrody. Park Ranger policzył nas i też mu wyszło, że brakuje nam jednej osoby. Odpieramy, że owszem, mieliśmy komplet, ale jednego zjadły już niedźwiedzie ☺. Nam ten żart wydaje się zabawny, ale jemu jakoś nie bardzo i mówi, że nie może pozwolić nam iść dalej. Zaczynamy go przekonywać, przecież cały szlak jawi się przed nami jak na dłoni, na tej wysokości nie ma już wysokiej roślinności, i jeśli byłoby niebezpieczeństwo, widzielibyśmy je na kilkaset metrów. Wreszcie nas puszcza, ale pod warunkiem, że w drodze powrotnej dołączymy do innej grupki.

Zadowoleni z obrotu sprawy, kierujemy się na wąską ścieżkę i do celu

dochodzimy po pół godziny. Na przełęczy napotykamy dość dużych rozmiarów kolebę. Ktoś musiał tu nocować i zbudował ją sobie z kamieni dla ochrony przed wiatrem. Po drugiej stronie grani rozciąga się Paradise Valley z kilkoma szczytami, wyglądającymi na dobry cel dla wspinaczy. Na grani jesteśmy krótko, bo robi się późno, a musimy jeszcze znaleźć grupę, do której można by się dołączyć. Schodzimy do łąk i zatrzymujemy się na lunch, zastanawiając się, jak mamy kogoś znaleźć do towarzystwa. Nagle na ścieżce od przełęczy pojawiają się dwie sylwetki. Dwoje ludzi schodzi dziarsko w dół. Skąd oni się tam wzięli? Gdy dochodzą do nas, pytamy, czy możemy do nich dołączyć, bo strażnik

przyrody tak nam przykazał. Para jest nieco zdziwiona, bo im nikt nic takiego nie nakazywał. Ale godzi się na wspólne wędrowanie przez las. Okazuje się, że wracają z Paradise Valley, gdzie wspinali się na jeden ze szczytów, które widzieliśmy z grani. To wyjaśnia, skąd wzięli się na przełęczy. Idą dość szybko, więc przy Moraine Lake jesteśmy już po trzech kwadransach.

Teraz mamy czas na podziwianie lanszaftu. Wdrapujemy się na pobliski morenowy pagórek, aby lepiej zobaczyć odbicie szczytów w jeziorku. Słońce chyli się ku zachodowi. No i mamy widok: szczyty odbite w wodzie! Bardzo dobre zakończenie dzisiejszego dnia! Oddaję głos do Warszawy.



Rafting na „spienionej wodzie” (poziom średnio-zaawansowany) na rzecze Fraser (fot. ze zbioru A. Kuliga).



Spektakularna tęcza „rozwieszona” nad doliną Berg Lake (fot. D. Jaworska).



Wędrowcy (od prawej: Danuta, Darek i Andrzej) powyżej wodospadów Toboggan Falls – w tle Mt Robson (fot. ze zbioru D. Jaworskiej).

A droga do Warszawy daleka. Po drodze „zaliczyliśmy” wizytę w Banff. Warte zobaczenia, ale trudno pobyc w nim dłużej. Pora pomyśleć o powrocie do Vancouver. Tym razem droga wiedzie przez rozległą dolinę Okanagan, pokrytą winnicami, przy których pracują winiarnie, oferujące rozliczne smaki win. Nam udaje się ją pokonać przez dwa dni tylko dlatego, że naszym pragnieniem jest spędzenie jednego dnia pod żaglami. Następnego dnia, we środę, po kilkugodzinnym żeglowaniu, wracamy do portu obejrzyć doroczne widowisko z fajerwerkami, chcącymi podkreślić, że pora się żegnać.

W czwartek, ostatni dzień lipca 2014 r., robię porządek w swoim bagażu. Danuta pomaga skompletować niezbędne kanadyjskie atrybuty. Kanada pachnąca żywicą? Szczerze mówiąc, po spędzeniu w jej lasach kilkunastu dni nie mogę tego potwierdzić. Dla mnie Kanada będzie „pachnieć” pięknymi widokami gór, nie tylko skalistych, pokrytych lasami i jezorami lodowców. Pozostanie także w pamięci jako cel udanej wyprawy w doborowym towarzystwie Danuty i Darka. Kanada jest krainą klonu, symbolizowaną flagą z klonowym liściem. Zamiast żywicy z lasów sosnowych króluje wszędobylski syrop klonowy, wytwarzany początkowo przez Indian w północno-wschodniej części Ameryki Północnej na długo przed przybyciem Europejczyków. Dla mnie porcja syropu klonowego będzie podstawą uszlachetnienia domowej pigwówki, więc nie powinienem o nim zapomnieć. Popołudniowy lot z Vancouver do Londynu oznacza podróż przez całą Kanadę. Po około godzinie lotu jestem nad Jasper National Park. Mam nadzieję, że nie ostatni raz podziwiam fantastyczne widoki na Rockies – szczyty pokryte lodowcami, rozdzielone dolinami rzek i jezior. Przez kilka godzin samolot leci po „granicy” nocy i dnia – na północy przez cały czas widać wschodzące słońce, mimo że w dole i na południe od toru lotu panuje noc. W Warszawie ląduję 1 sierpnia wczesnym popołudniem w pełnym słońcu. Dziękuję, D&D.

Andrzej KULIG i Danuta JAWORSKA

Fotografie ze zbioru A. Kuliga i D. Jaworskiej Torbole sul Garda & Vancouver, wrzesień 2014 r.

¹ Kulig A. (2007): *Z Beskidu Wyspowego w Andy. Aconcagua – Kamienny Strażnik*. EL nr 152-153, r. XV, s. 24-27 (<https://sites.google.com/site/andrzejkuligopz/hobby-za-interesowania-i-aktywnosc-pozazawodowa/turystyka-wysokogorska>).

² Fiedler A. (2014): *I znowu kusząca Kanada*. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o. Pelplin.

Wesołych Świąt

www.szubryt.pl

Szubryt[®]
ZAKŁADY MIĘSNE

www.szubryt.pl

Radosnych
Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślności w Nowym Roku
dla wszystkich Naszych
Klientów



Mięso Wędliny z Sądeckiej Doliny

Franciszek Biedroń

Tomasz Jan Biedroń

- więzień Niemieckiego Zakładu Karnego w Przedzielnicy

Franciszek Biedroń urodził się 1 X 1910 roku w Limanowej, jako syn Jana Biedronia (1849-1922) i Marii z domu Jeż (1874-1931).¹

Franciszek Biedroń uczęszczał do szkoły powszechnej w Limanowej prawdopodobnie 7-klasowej, którą ukończył około 1925 roku, po czym rozpoczął naukę w Gimnazjum w Nowym Sączu, dokąd dojeżdżał. Na dwa lata przed maturą przerwał naukę z powodów materialnych. Mój ojciec Jan Biedroń (1902-1998) po powrocie z wojen: polsko-ukraińskiej i polsko-radzieckiej w 1920 roku utrzymywał całe rodzeństwo wraz z matką i ojcem.² Przez kilka lat pracowała też siostra Franciszka Józefa (1913-1934), jak to się wówczas mówiło u rejenta. Z chwilą jak mój ojciec, Jan utracił pracę w Rafinerii w Limanowej-Sowlinach nie mógł już utrzymywać rodzeństwa. Wyjechał do Strzelna Kujawskiego za pracę, gdzie zamieszkał i pracował.

Przerwawszy naukę Franciszek Biedroń miał się różnych zajęć. Nie wiem, jakich? Prawdopodobnie odbył służbę wojskową. Zwróciłem się w tej sprawie do WKU w Nowym Sączu, ale do dzisiaj brak odpowiedzi z ich strony. W latach 30. Franciszek Biedroń rozpoczął pracę w Urzędzie Pocztowym w Limanowej, jako listonosz. Pracował tam aż do wybuchu II wojny światowej.

Odpowiadając na rozporządzenie władz niemieckich wzywające przedwojennych pracowników Poczty Polskiej do natychmiastowego podjęcia pracy w placówkach Niemieckiej Poczty Wschód (Deutsche Post Osten), zgłosił się do pracy pod koniec 1939 roku. Za niewykonanie tego rozporządzenia groziło aresztowanie i deportacja na przymusowe roboty do Niemiec. Najprawdopodobniej w 1941 roku na skutek donosu został aresztowany przez gestapo pod zarzutem kontaktów z organizacjami konspiracyjnymi.

Pocztowcy z Nowego Sącza poinformowali pracowników polskich Urzędu Pocztowego w Limanowej, że jedzie do nich gestapo celem aresztowania podejrzanych o współpracę z konspiracją. Należy podkreślić, że na tym terenie najsilniejszym ugrupowaniem konspiracyjnym był ZWZ-AK. Wszyscy ostrzeżeni zdołali zbiec. Franciszek Biedroń był wówczas w terenie z telegramem i kiedy wrócił wpadł prosto w łapy gestapo. Nie znam drogi, jaką przebył Franciszek Biedroń z gestapo w Nowym Sączu do Niemieckiego Zakładu Karnego w Przedzielnicy.

Istnieją na ten temat trzy hipotezy: pierwsza - transportem z grupą osiemdziesięciu więźniów z Niemieckiego Zakładu Karnego w Rzeszowie w połowie listopada 1941 roku, druga - transportem z Krakowa - Montelupich w grupie siedemdziesięciu więźniów w jesieni 1942 roku i trzecia - transportem z Przemysła



Pocztowcy na limanowskim rynku. Stoją od lewej: Józef Jurowicz, Franciszek Dutka, Kazimierz Sułkowski, Franciszek Biedroń - 1938 rok.



Tablice w formie krzyża z nazwiskami limanowian pomordowanych w latach okupacji hitlerowskiej umieszczone w arkadach północnej ściany bazyliki.

w grupie kilkunastu więźniów. Miały jeszcze miejsce dwa lub trzy transporty z Pawiaka z Warszawy, a z początkiem 1943 grupy więźniarek z Tarnowa. Najbardziej prawdopodobnym wydaje się przybycie Franciszka Biedronia z Niemieckiego Zakładu Karnego w Rzeszowie. W tej sprawie zadzwoniłem do Pani prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Rzeszowie zajmującej się Niemieckim Zakładem Karnym w Przedzielnicy, która poprosiła mnie, abym za pół roku do niej ponownie zadzwonił, to może będzie więcej wiedzieć na ten temat.

Niemiecki Zakład Karny w Przedzielnicy został zorganizowany w 1941 roku, jako karna kolonia rolnicza o bardzo surowym rygorze, w którym przebywało około dwóch tysięcy mężczyzn i pięćset kobiet. Przebywali tam więźniowie skazani za działalność niepodległościową, miejscowi rolnicy ukarani z powodu tajnego uboju, handlu mięsem, nie oddawania kontyngentów, kryminaliści. Na bramie prowadzącej do obozu był napis: Niemiecki karny obóz pracy. W celach 8-10 osobowych przebywali więźniowie. Więźniom po przybyciu zakładano ciężkie kajdany ważące od ośmiu do szesnastu kilogramów. Kajdany zakładano na silne, grube nity, gdy były zbyt ciasno zanitowane, to więźniom puchły nogi, powiększając ich cierpienia. Kajdany były zakładane na stałe, w nich

więźniowie pracowali i spali. Byli bici i maltretowani. W celach spali na podłodze na zawieszonych siennikach. Praca trwała od świtu do nocy. Racje żywnościowe były bardzo skromne, śniadanie składało się z lury zwanej kawą i czarnego chleba przeznaczonego dla czterech osób. Na obiad i kolację otrzymywali zieloną zupę zwaną „mangol” z rośliny podobnej do tataraku ale o szerszych liściach o trudnym do przyjęcia smaku. Z czasem zabroniono wysyłania więźniom paczek żywnościowych. W zasadzie obowiązywał zakaz korespondencji. Za dobre sprawowanie więźniowie mogli sporadycznie pisać do rodziny. Ludzie umierali z wyczerpania, głodu, bicia, dziesiątkowani przez choroby, owrzodzenie. Codziennie umierało kilku więźniów. Zwłoki umieszczano w osobnym pomieszczeniu. Wieczorem zabierał zmarłych grabarz z Nowego Miasta i wywoził na cmentarz, gdzie byli chowani. Z zachowanych zeznań więźniów którzy przeżyli, wynika, że było tam jak w Auschwitz, a nawet gorzej. Więzienie funkcjonowało do 27 lipca 1944 roku.³

Mój wujek, Wojciech Biedroń (1908-1989), chciał się bardzo zobaczyć z uwięzionym bratem Franciszkiem, dlatego zwrócił się do burmistrza Limanowej o wystawienie niezbędnej do wyjazdu przepustki. Opowiadał mi, że przez parę tygodni chodził do Zarządu Miasta, prosząc o przepustkę. Swym działaniem

spowodował wielkie zamieszanie w Zarządzie Miasta, bowiem należało prosić o zgodę gestapo i straż obozową, czego się panicznie bano. W końcu otrzymał przepustkę i zimą na przełomie roku 1941/42 przez dwa dni jechał do Przedzielnicy. Po przybyciu zobaczył swojego brata w pasiaku na gołym ciele w drewniakach bez skarpetek i w kajdanach. Mróz, jak mi wówczas opowiadał dochodził do 30 stopni poniżej zera. Franciszek był nadmiernie wychudzony i przypominał cię człowieka. Po wojnie wujek Wojciech dowiedział się od jednego z więźniów, który przeżył, że Franciszek Biedroń miał 41 stopni gorączki, nie mógł pracować i kapo dobił go drewnianą pałką. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Nowym Mieście w dniu 2 XII 1942 roku.

Jego nazwisko zostało umieszczone na krzyżu z brązu upamiętniającym pomordowanych limanowian przez okupanta w latach 1939-1945 umieszczonym w arkadach północnej części limanowskiej bazyliki Matki Boskiej Bolesnej.

Fotografie:
arch. albumu „Okrucy pamięci”

¹ Informacje na temat Franciszka Biedronia uzyskałem od: Wojciecha Biedronia (1908-1989), Jana Biedronia (1902-1998) i Wiktorii Biedroń (1905-2002) w trakcie rodzinnych rozmów w latach 60. - 70. ubiegłego wieku; Lista zmarłych z więzienia w Przedzielnicy, pochowanych na cmentarzu w Nowym Mieście (na podstawie: Księga zmarłych parafii Nowe Miasto), www.naszdziennik.pl/wp/71343, lista zmarłych z więzienia-w.
² W domu pozostawali: ojciec Jan (1849-1922), matka Maria z Jeżów (1874-1931), córki: Wiktorii (1905-2002), Józefa (1913-1934), synowie: Michał (1898-1924), Wojciech (1908-1989), Franciszek Biedroń (1910-1942). Najstarszy brat Franciszka Stanisław Biedroń (1894-1972) po zakończeniu I wojny światowej powrócił z frontu włoskiego, ożenił się i wprowadził do żony.

³ Maria Różańska, Obóz śmierci w Przedzielnicy, „Nasz Dziennik”, <http://naszdziennik.pl/mysl/74972.html>, s.1-6; Zobacz też: M. Pabis, W Przedzielnicy jak w Auschwitz, „Nasz Dziennik”, <http://naszdziennik.pl/polska-kraj/72769.html>, s.1-3.

Stan czuwania na bastionie „Wilga”

Stanisław M. Jankowski

O ostatnim zrzucie alianckim pisała Ilona Machowicz – Jurowicz w artykule „Przyjazne niebo nad Polankami Szczawskimi” w numerze 234 - 235 „Echa Limanowskiego” (marzec – kwiecień 2014). Rekonstrukcja wydarzenia sprzed 69 lat przypominała „Wilgę”, jedną z ponad 500 placówek odbiorczych, które w czasie niemieckiej okupacji na terenie kraju przyjmowały sprzęt, broń i cichociemnych. Do przyjaznego nieba nad Polankami Szczawskimi wracamy w 70. rocznicę, która minęła w grudniu ubiegłego roku, największego zrzutu dla okręgu krakowskiego Armii Krajowej.

Jest czwartek, 28 grudnia 1944. Na placówce „Wilga”, położonej 23 kilometry na północny wschód od stacji kolejowej Nowy Targ, u podnóża Kiczory, w pobliżu wioski Szczawa trwają przygotowania do odbioru kolejnego zrzutu. „Wilga” - jak inne placówki okręgu krakowskiego Armii Krajowej - nosi imię ptaka. Od kwietnia 1943 jest „bastionem”, czyli zrzutowiskiem nawet dla kilku samolotów.

Stan czuwania trwa od kilku dni. W każdej chwili należy spodziewać się sygnału, podawanego po porannej audycji radia BBC w języku polskim i powtórzonym w audycji południowej. O 15¹⁵ nadawany jest komunikat specjalny, składający się z szeregu trzycyfrowych liczb, w tym jednej z numerem placówki. „Wilga” ma numer 901 A. Po usłyszeniu numeru wiadomo, że przed 20⁰⁰ trzeba zająć stanowiska. Z oczekujących na zrzut nikt nie potrafi czekać do 20⁰⁰. Najwcześniej, w zależności od pory roku, wyruszają zespoły ubezpieczenia zewnętrznego. W zimie zajmują stanowiska przed zmrokiem. W sztabie 1. batalionu 1. Pułku Strzelców Podhalańskich zaraz po porannej audycji BBC ustalono, kto zajmie się transportem. Nie pomaga przygotowaniu nieznaną ilość zasobników i paczek. Skontrolowano sprawność lamp kierunkowo - orientacyjnych, latarek, radiotelefonu S-FON do porozumiewania się z samolotem. Dowódca grupy odbioru uzgodnił, kogo wyznaczyć do zapalenia ognisk w pewnym oddaleniu od placówki, a także żołnierzy, odpowiedzialnych za zapalenie latarek strzałką wskazujących kierunek wiatru. Trzech partyzantów na punkcie obserwacyjnym odpowiada za zapamiętanie miejsca upadku zasobników i paczek oraz wylądowania skoczków.

„Syrena” pod opieką „pelikanów”

Dla zasobników i paczek przygotowano magazyny, m.in. w tartaku na Bukówkach. Sprawdzono trasy, którymi ruszą furmanki z zasobnikami. Czas jest zimowy, więc taka kontrola przed zrzutem pomoże w decyzji: furmanki czy sanki? Później zostaje czekanie, aby wieczorem nie sypnęło nagle śniegiem.

Stan czuwania to dni największego napięcia dla Komórki Odbioru Zrzutów, kryptonim „PP”. Te dwie litery zadecydowały o nazywaniu „pelikanami” zarówno łącznościowców jak i żołnierzy ochrony radiostacji. Dowodzi por. Antoni Turcki - „Tolek”, zastępcą jest Józef Białykiewicz - „Leliwa”, dowódcą 8-osobowej ochrony por. Jan Adamczyk - „Gryf”. Do ich zadań należy również opieka nad oficerami „Syreny” - komórki



W oczekiwaniu na zrzut.

Oddziału V Komendy Głównej AK zajmującej się odbiorem zrzutów lotniczych. Po Powstaniu zamieniono ją w samodzielny referat w Wydziale Lotnictwa KG AK. Z „pelikanami” mieszkają oficerowie zrzutowi: ppor. Michał Modzelewski - „Mikołaj” i ppor. pilot Florian Kortus - „Krzysztof”. Nie wiedzą, czy w przygotowywanej w Bazie operacji zrzutowej będą skoczkowie czy tylko broń i zaopatrzenie. Przywieźli rozkazy o przydziale służbowym dla - nazywanych „ptaszkami” - skoczków oraz adresy kontaktowe w przypadku wylądowania przez nich poza placówką.

Ładownice z tysiącami dolarów

Po odbiorze od skoczków pieniądze „Mikołaja” i „Krzysztofa” czeka dowieszenie ich do Komendy krakowskiego Okręgu AK. Wyruszą z bronią, najwyższej jakości fałszywymi „kennkartami”, dokumentami podróży i niewielkimi pastylkami z trucizną, najczęściej przewożonymi w zewnętrznej kieszonce marynarki. Pieniądze (kilkaset tysięcy dolarów!!!) będą równiutko ułożone w zawieszonych na szelkach ładownicach z lnianego płótna. Przyleciały te ładownice w listopadzie, przyczepione pod marynarkami skoczków z ekipy „Podlasiaka”. Uznano, że są bardziej bezpieczne od teczek lub plecaków. Na razie pasy leżą pod ławą w izbie, zajmowanej przez „pelikanów” z eskorty i obu „zrzutowych”. W zapowiedzianej w audycjach operacji zrzutowej dla bastionu „Wilga” czeka ich krótka odprawa z dowódcami grup ubezpieczenia, obserwacji, odbioru i ewakuacji. Nie trzeba przeprowadzać ćwiczeń. Żołnierze 1. pułku Strzelców Podhalańskich AK - a zrzutowisko leży na terenie ich działania - uczestniczyli w przyjęciu sprzętu i cichociemnych 22/23 listopada, a później zrzut 25/26 grudnia. Pamiętają, żeby nie ►

► rozbiegać się na widok lądujących spadochronów i nie „wyścigować” do zasobników. Samolot ma błysnąć światłem, nadając alfabetem Morse’a umówioną literę „K” jak „Krystyna”. W razie zauważenia niebezpieczeństwa należy natychmiast włączyć czerwone światło, kierując jego snop bezpośrednio w samolot. Pilot przerwie wówczas operację zrzutową.

Samoloty śpią spadochronami

28 grudnia od godziny 15⁴⁵ z pasa startowego bazy w Campo Casale we Włoszech, jeden za drugim, podrywa się dziesięć samolotów 301 Dywizjonu Ziemi Pomorskiej „Obrońców Warszawy”. Ta nazwa obowiązuje od niedawna, bo do 14 września 1944 Dywizjon był 1586 Eskadrą Specjalnego Przeznaczenia. 7 listopada Air Ministry zatwierdziła etat dywizjonu o stanie 18 samolotów i 24 załóg. Przywrócono też stary numer dywizjonu RAF: 301.

W Campo Casale obok portowego miasta Brindisi, zlokalizowana została „Główna Baza Przerzutów”. Stąd bliżej niż z Anglii do placówek odbiorczych w Kraju. Wystarczy pokonać 1400 – 1500 kilometrów i już można sypnąć spadochronami.

28 grudnia startują tylko cztery Liberatory i sześć Halifaxów. Na zasobniki i paczki - oprócz „Wilgi” – w stan czuwania postawiono placówki odbiorcze: „Cekinia”, „Bambus”, „Lewkonia” i „Kobuz”. Po pięciu godzinach od startu nad placówki powinny wlecieć maszyny 301 dywizjonu. Warrant Officer - W/O Bolesław Uram, W/O Józef Stephani zabrali po 9 zasobników i 12 paczek broni oraz zaopatrzenia, Flight Sergeant F/S Antoni Tomiczek - 9 zasobników i 16 paczek. Do Liberatora BZ 965 „V” Flight Lieutenanta F/L Stanisława Reymera – Krzywickiego załadowano 15 zasobników i 12 paczek. W drugi dzień Bożego Narodzenia o godzinie 16²⁰ wystartował nad „Wilgę” z zaopatrzeniem i szóstką skoczków. O 17⁰⁵ przez radio polecono mu przerwać operację. Wrócił do Campo Casale. Ponownie znalazł się nad „Wilgą” 25 grudnia. Placówka prawidłowo wyłożyła znak świetlny wskazujący kierunek wiatru. Z samolotu – w sześciu nalotach – wyleciało 15 zasobników i 5 paczek, a później na niebie pojawiły się spadochrony z ekipy „Podlasiaka” – kpt. Stanisława Dmowskiego. W specjalnie skonstruowanych pasach przywieźli 589000 USD i złotych dolarów 6000. Byli 63 ekipą cichociemnych, jakie od 1941 wysłano do okupowanej Polski. I ostatnią. Depesza z kraju potwierdzi rozbięcie się pięciu zasobników i nie odnalezienie jednej paczki.

Czterdzieści minut na „Cekinią”

28 grudnia F/L Leopold Mielecki startuje z 12 paczkami i 10 zasobnikami, W/O Jan Cholewa z 15 zasobnikami i 3 paczkami, F/L Edmund Ladro zabiera 12 paczek i 10 zasobników. Z Liberatorów F/S Tadeusza Mioduchowskiego i F/S Leopolda Mieleckiego po pięciu godzinach lotu powinny wylądować spadochrony z 12 paczkami i 10 zasobnikami. To F/S Mioduchowski był nad „Wilgą” w nocy z 25/26 grudnia. W dwóch nalotach - zrzucił 12 zasobników i 6 paczek. Teraz czeka na niego placówka „Cekinia”, położona 7 kilometrów na północny zachód od stacji kolejowej Końskie, w pobliżu wsi Gracuch. O godzinie 21⁰⁵ Halifax Mioduchowskiego schodzi na 500 stóp, krąży przez 40 minut, sygnalizuje swoją obecność. Placówka nie odpowiada. Nawigator F/S Stanisław Krzemiński podaje więc pilotowi kurs na placówkę zapasową i Halifax JP-136 D przemieszcza się nad Gorce. O 22²⁰ zaczyna

krążyć nad „Wilgą” coraz bardziej zdenerwowany, bo ziemia milczy. Nie decydując się na tzw. zrzut „na dziko” i z całym ładunkiem, wraca do Campo Casale.

Na „Cekinię” nie spadają też zasobniki z Liberatora KG 834 U, pilotowanego przez F/S Leopolda Mieleckiego. Maszyna pojawiła się nad placówką o godzinie 21²⁵. Po 40 minutach krążenia pilot rezygnuje z czekania na sygnał z ziemi i postanawia lecieć nad „Wilgę”. Schodzi na 3000 m. Nie widząc sygnałów z placówki, wraca do bazy i melduje nie wykonanie zadania. Na Liberatorze widać ślady pocisków rosyjskiej artylerii przeciwlotniczej. Próbowano zestrzelić go w czasie przekraczania Wisły między Sandomierzem a Tarnobrzegiem.

Pod ogniem ciężkiej artylerii

Z ładunkiem wraca do bazy Liberator BZ- 965 V, pilotowany przez W/O Stanisława Reymera – Krzywickiego. Nie dotarł nad placówkę „Wezera” (37 kilometrów na południowy wschód od stacji kolejowej Pruszków niedaleko Żarnowa), bo o 17.30 nad Adriatykiem, w pobliżu Jugosławii, stwierdzono brak mocy w dwóch prawych silnikach. Lądowali w bazie, nie wierząc własnemu szczęściu.

Liberator KG- 994 „R” pilotowany przez F/L Edmunda Ladro o 20⁴⁸ zahaczał silnikami nad „Wilgą”. Ziemia nie odpowiada na sygnały. Samolot zaczyna krążyć i wówczas nawigator F/L Roman Chmiel zauważa trzy światła w rzędzie 2,5 km na południowy zachód od placówki. Odpowiada ze skrzydła kropkami i kreskami Morse’a nadając odwrotność litery podanej z ziemi. Na zrzutowisku zapalają się światła. Liberator zmniejsza szybkość do granic nośności płatów, cichną motory. Kilka minut później 11 paczek spada na zrzutowisko. Zasobniki zostają, bo nie wypuszcza ich zablokowany niespodziewanie wyrzutnik. Wracają do bazy razem z jedną paczką.

Pilotowany przez W/O Jana Cholewę Liberator KH – 151 „S” z powodu słabej widoczności nad placówką „Bambus” rusza nad „Wilgę”. Jest na miejscu o 21¹⁵. Podczas trzeciego nalotu placówka nieoczekiwanie gasi światła. Pilot wyrzuca 12 zasobników i 5 paczek, a 7 paczek zostaje na pokładzie. Nad Słowacją, w rejonie Koszyc Liberator dostaje się pod ogień ciężkiej artylerii przeciwlotniczej. Żaden z pocisków nie jest jednak celny i W/O Cholewa o 1⁵⁰ melduje się w Campo Casale.

Halifax JP- 252 „L”. W/O Jana Kalfasa dolatuje w rejon ujścia Raby. Przed nim ponad 100 kilometrów do placówki „Bambus”. Pogarszająca się widoczność decyduje o zmianie planów. Odnajduje bastion „Wilga”. O 21⁵⁴ zaczyna zrzucać zasobniki i paczki (jedną bez spadochronu). W czasie trzeciego nalotu w pobliżu pojawia się nie rozpoznany jednosilnikowy myśliwiec, więc pilot podrywa maszynę w drogę powrotną. W bazie melduje się po 10 godzinach lotu, z dwoma paczkami na pokładzie.

Śmierć czekała nad Preszowem

Spotkanie z nie rozpoznany samolotem i ostrzelanie przez artylerię pod Koszycami zapisze w książce lotów W/O Antoni Tomiczek. Jego Halifax LL-118 C kieruje się na bastion „Wilga”. Potrzebuje czterech nalotów i przed 21. spada na ziemię 9 zasobników i 16 paczek. Kilka dni później Kraj potwierdzi odbiór zrzutu z wyjątkiem 5 nie odnalezionych paczek.

Zła widoczność zmusza do zaniechania zrzutu na placówkę „Lewkonia”, położoną 11 kilometrów na południowy



1. PSP AK „Pelikany”, maj-czerwiec 1944 rok.

Fotografie: arch. IPN Kraków

wschód od stacji kolejowej Koniecpol koło wsi Przyłęk. Po kwadransie oczekiwania na odejście mgły zapada decyzja odszukania placówki zapasowej. Pilotowany przez F/O Józefa Stephani Halifax LL - 465 „J” leci nad „Wilgę”. Krąży nad Gorcami pół godziny, widzi światła w rzędzie 2,5 kilometra na zachód od placówki. Ziemia milczy, więc po dwóch nalożach Stephani z zasobnikami i paczkami postanawia wracać do bazy. W rejonie Miskolca z prawej burty atakuje maszynę nocny myśliwiec Ju-88. Halifax nurkuje w korkociągu, a tylny strzelec sgt. Jan Gieraga odpowiada ogniem czterech karabinów maszynowych.

Po kilku minutach walki napastnik oddala się, a Stephani do Campo Casale przywiezie 9 zasobników i 12 paczek.

Z ładunkiem wraca również Halifax LL - 534 „M” prowadzony przez W/O Franciszka Laskowskiego. Nie udało mu się wykonać zrzutu na placówkę „Kobuz”, położoną 15 kilometrów na północny wschód od Miechowa, koło wsi Janowice. Pamiętał, że w takiej sytuacji powinno się odszukać placówkę zapasową. Ruszył nad „Wilgę” i próbował tutaj nawiązać kontakt ze zrzutowiskiem. Bastion nie odpowiadał. Po półgodzinnym krążeniu 9 zasobników i 12 paczek poleciało z powrotem do bazy.

Nad „Kobuzem” przez siedem minut krążył Halifax LL - 187 „H” W/O Bolesława Urama. Po udanym zrzucie jego maszyna została zestrzelona ogniem karabinów maszynowych podczas przekraczania linii frontu w rejonie Preszowa. Zginęła 8-osobowa załoga.

Z dziesięciu maszyn 301 Dywizjonu skierowanych do operacji zrzutowych w dniu 28 grudnia 1944 połowa mogła zameldować o wykonaniu zadania. Nad placówkę – bastion „Wilga” tej nocy piloci polskiego dywizjonu zrzucili 29 zasobników i 41 paczek (5 z nich nie odnaleziono).

Przylatywały zegarki, buty, rowery

Jaka była zawartość zasobników i paczek? W zasobniku typu T przekazywano 109 kg plastiku, w L – lont prochowy, lont wybuchowy, spłonki saperskie, szczypce minerskie, noże, zapalniki, taśma izolacyjna, 16 granatów ręcznych. Zasobnik typu GR mieścił 114 granatów ręcznych, 60 min, 3 rewolwery, 150 sztuk amunicji, 6 rakiet. Największym zainteresowaniem cieszyły się zasobniki typu S z 13 stenami, 13 zapasowymi magazynkami, 3900 sztukami amunicji, 4 rewolwerami i 6 rakietami, a także typu SM: 10 schmeisserów, 40 magazynków, 3000 sztuk amunicji, 4 rewolwery, 200 sztuk amunicji. W innych zasobnikach znajdowały się niemieckie Lkm-y, angielskie breny, lornetki, radiostacje, radioodbiorniki, moździerze, granaty ręczne, zestawy sanitarne, radiotelefony, nawet zegarki i – w zasobnikach typu MTC – motocykle spadochroniarskie. W zasobnikach POW przylatywały rowery. Oprócz zasobników zabierano do Kraju dwadzieścia typów paczek. W najbardziej oczekiwanych REW i REW 1 – znajdowały się rewolwery, w paczkach typu „S” – steny, w BT - buty, skarpety, koszule. W trwających od 15/16 lutego 1941 roku do 28/29 grudnia 1944 operacjach zrzutowych skoczyło 345 spadochroniarzy, w tym 28 (29?) kurierów cywilnych. Przywieźli 41 milionów złotych okupacyjnych, ok. 35 milionów dolarów i 19 milionów marek. Z wysłanych 670 ton zaopatrzenia odebrano w Kraju ponad 443 tony. Nie znamy odpowiedzi na pytanie o dostarczone do innych krajów pieniądze. Wiadomo natomiast o 5000 ton sprzętu wysłanego do Grecji, ponad 10 000 ton przekazanych do Francji oraz 76 000 ton (w tym drogą powietrzną ponad 13 000) wzmacniających oddziały partyzanckie w Jugosławii.

Porównanie tych liczb ujawnia stopień zainteresowania aliantów Armią Krajową – największą z podziemnych armii w okupowanej Europie. Komentarz zbyteczny.

Pieczenie starostwa limanowskiego i inne z drugiej połowy XIX i początków XX wieku

Pieczenie, zawłaszcza te stare są źródłem historycznym, świadectwem autentyczności dokumentu, czasów minionych, wołą suwerena. Badaniem pieczęci zajmuje się sfragistyka będąca nauką pomocniczą historii. W myśl definicji pieczęć jest jednym z drobnych, lecz ważkich przejawów życia prawnospołecznego, związanego nierozdzielnie z organizacją i funkcjonowaniem władz i urzędów. Pieczęć jest znakiem rozpoznawczo-własnościowym określonej osoby fizycznej lub prawnej, wyciśniętym za pomocą twardego stempla w odpowiedniej masie plastycznej lub farbie, a pełniącym rolę świadectwa wiarygodności i mocy prawnej, wykładnika woli jego właściciela, jak również środka kontrolującego i zabezpieczającego nienaruszalność zamkniętego nią pisma lub przedmiotu. Pojęciem pieczęć obejmujemy dwojakie jej znaczenie: właściwej pieczęci, czyli jej odcisku w masie plastycznej, oraz tłoku pięcietnego z utwalonym na jego powierzchni znakiem pieczętnym¹. To tyle, jeżeli chodzi o definicje pieczęci.

Prezentowane odciski pieczęci (od 1 do 7) starostwa limanowskiego i instytucji działających na terenie powiatu z drugiej połowy XIX i początków XX wieku przetrwały utwalone na arkuszu szarego papieru w zbiorach Archiwum Państwowego w Krakowie. Natknąłem się na nie przypadkowo, wertując dokumenty z okresu międzywojennego znajdujące się w zbiorze pt: Pieczęcie urzędów państwowych i samorządowych województwa krakowskiego. Tam też natrafiłem na pismo starosty powiatowego limanowskiego dr. Romana Müllera z 14 marca 1929 roku skierowane do wojewody krakowskiego, a dotyczące wykorzystania beużytecznych pieczęci i stampili znajdujących się w posiadaniu

starostwa limanowskiego. Otóż Müller zaproponował wojewodzie krakowskiemu „skoncentrowanie ich w jednym miejscu i stosowne przerobienie”, co dałoby w rezultacie – zdaniem starosty – pozyskanie tanim kosztem całego szeregu pomocniczych stampilek, tak potrzebnych wówczas przy reorganizacji biurowości we władzach administracji publicznej.²

Czytając wspomniane pismo starosty trudno oprzeć się pytaniu, dlaczego starosta i to z tytułem doktora wnioskował do wojewody o ich zniszczenie, bo przerobienie, to przecież zniszczenie. Nie ulega wątpliwości, że Müller kierował się pragmatyzmem, chcąc stare pieczęcie ponownie wykorzystać, co stało się faktem, a o czym w dalszej części tekstu.

Przypuszczalnie nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tych pieczęci jako źródła historycznego. Z pewnością do tego dochodziła ogromna zakorzeniona niechęć do zaborcy austriackiego w świadomości ludzi, którzy ten okres pamiętali z autopsji, pragnących raz na zawsze zatrzeć złe wspomnienia z przeszłości, kiedy Polska nie istniała na mapie Europy. Wreszcie nie bez znaczenia były zarządzenia i polecenia władz zwierzchnich, polityka państwa, pragnących uporządkować problem nieaktualnych pieczęci.

Wysyłając odciski pieczęci i stampili, znajdujących się w posiadaniu starostwa limanowskiego, starosta wnosił, aby wojewoda zarządził wysyłkę pieczęci do Krakowa, celem przerobienia stampili wyszczególnionych w przesłanym załączniku na wówczas aktualne oraz celem przechowania w jednym z archiwów krakowskich pieczęci wyszczególnionych w załącznikach II i III. Pieczęcie wyszczególnione w załączniku II proponował zniszczyć, a części drewniane zużyć na inne³. Niestety, zachowała się tylko pierwsza strona załącznika II (odciski 7 pieczęci) i trzecia strona załącznika II, a na niej m.in. 2 odciski pieczęci, podługne i napisy np.: Starostwo, Starosta, Przewodniczący, Opłata zryczałtowana



1. K.k. (Kaiserlich-koniglich) Bezirkshauptmannschaft Limanowa – Cesarsko-królewskie Starostwo Limanowa.



2. K.k. Bezirksamt in Skrzydlna – Cesarsko-Królewski Urząd Gminy Skrzydlna.



3. K.K. Polizbezirks (?) in Limanowa Policja Powiatowa w Limanowej.



4. Landwirtschaftliche Expositur der k.k. Statthalterei 18a in Limanowa – Ekspozytura Gospodarcza (rolnicza) k.k. namiestnictwa w Limanowej.

rozporządzeniem, Starostwo referat spraw rolniczych, Rekommandiert, C.k. Komendzie Posterunku Żandarmeryi, Marossany, itd. Są one pozostałościami po władzach samorządowych i urzędach państwowych nie tylko z czasów doby autonomii Galicji, ale i pierwszych lat odrodzonej Polski. Nie zachowała się strona 2 załącznika II i dlatego nie wiemy, co zawierała. Może odciski pieczęci niewyszczególnione na stronach 1, 3 załącznika II? A może pozostałe stampile?

Wojewoda krakowski zapewne podjął decyzję w sprawie pieczęci, ale niestety nie wiemy, jaką. Jedno jest pewne, starosta limanowski dr Roman Müller, wykonując reskrypt wojewody krakowskiego z dnia 21 marca 1929 roku, przesłał w specjalnym załączniku odciski nieaktualnych pieczęci metalowych i kauczukowych, zebranych w tutejszym starostwie powiatowym i w urzędach gminnych⁴. Wspomniane w piśmie pieczęcie nie przetrwały do dnia dzisiejszego. Nie jest pewne również, czy starosta limanowski przesłał je do Krakowa, może zniszczył je na miejscu, lub też „przerobił” na inne użyteczne. Pozostały jedynie odciski na szarym papierze, niektóre z bardzo niewyraźnymi napisami (pieczęć 3), a nawet ich częściowym brakiem. Świadczy to nie tylko o ich zniszczeniu, zużyciu, ale i o materiale, z jakiego zostały wykonane. Sądzić można, że funkcjonowały w administracji Galicji przez wiele lat i po prostu zużyły się. Odciski pieczęci z wyraźnymi napisami zostały wykonane zapewne z metalu, zaś te o niewyraźnym napisie z kauczuku.

Decyzje starosty limanowskiego i wojewody krakowskiego były prawdopodobnie następstwem licznych dekretów Rządu z lat 1919-1938 regulujących



5. C.K. Cesarsko-królewskie Starostwo Limanowa

ustawodawstwo herbowe w Polsce rozpoczęte dekretem z 28 sierpnia 1919 r., zabraniającym używania państwowego orła polskiego przez instytucje niepaństwowe. Z kolei dekret Rządu z dnia 20 VI 1928 roku nakazywał m.in., że wszystkie stare i nieużywane już tłoki należy odesłać w celu zniszczenia do Mennicy Państwowej w Warszawie.⁵

Oto zachowane odciski 7 pieczęci przesłanych przez starostę limanowskiego wojewodzie krakowskiemu:⁶

Z kolei odciski pieczęci (od 8 do 12) są efektem penetracji dokumentów starostwa limanowskiego z lat 1918-1919, na jakie natrafiłem we wspomnianym Archiwum Państwowym w Krakowie⁷. W pewnym sensie są uzupełnieniem odcisków tych pieczęci, które nie przetrwały, a które funkcjonowały w administracji i być może niektóre z nich znajdowały się na załączniku III, który się nie zachował.

Wszystkie prezentowane odciski pieczęci są okrągłe poza odciskami 6, 12 i 13 o różnej średnicy, w środku których, (poza 11, 13), znajduje się dwugłowy orzeł w koronie wraz z insygniami herbowymi symbolizujący Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego oraz Cesarstwo Austrii, zaś napisy na otocze pieczęci są w języku niemieckim i polskim. Pochodzą one z okresu autonomii Galicji. Odcisk elipsoidalnej pieczęci 6 pochodzi z „przerobionej” pieczęci 12. Wycięto ze środka orła Cesarstwa Austrii i napis C.K. i tak dostosowaną do potrzeb administracji odrodzonego państwa polskiego posługiwano się nią zapewne jeszcze przez kilka lat po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Pieczęć 13 pochodzi z drugiej połowy XIX wieku i była używana przez magistrat miasta Limanowa. Z kolei pieczęć



6. Starostwo w Limanowej.



7. Bezirkshauptmannschaft Limanowa – Starostwo Limanowa.



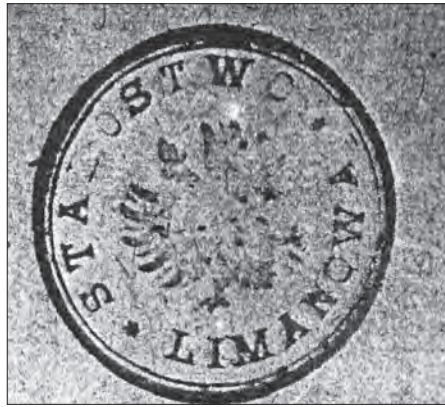
8. K.K. Bezirksamt in Limanowa – Starostwo Powiatowe.



9. K.K. Bahnamt Limanowa – Stacja Kolejowa Limanowa.



10. K.K. Bezirkshauptmannschaft in Limanowa – Starostwo Limanowa.



11. Starostwo Limanowa.



12. C.k. Starostwo w Limanowej.

11 wywodzi się z okresu po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, służąc administracji samorządowej przez kilka dobrych lat. Napisu na odcisku pieczęci 3 bardzo niewyraźnego nie udało się odczytać. Początek napisu sugeruje, że posługiwała się nią policja na szczeblu powiatu.

Pieczęcie 1, 5, 9, 12 i 14 zostały wprowadzone do obiegu po 1915 roku⁸, kiedy to na piersi dwugłowego orła pojawiła się tarcza w kolorach flagi, zastępując herb rodowy dynastii Habsbursko-Lotaryńskiej. Kolory flagi czerwona-biało-czerwona wywodzą się z dawnego herbu Babenbergów.

Prezentowane odciski pieczęci są świadectwem minionych czasów doby autonomii Galicji i pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości. Większość z prezentowanych pieczęci związana jest z samorządem, który rozwijał się prężnie w drugiej połowie XIX i XX wieku na terenie Galicji, a następnie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku. Warto o tym pamiętać zwłaszcza dzisiaj, kiedy jesteśmy świadkami dynamicznego rozwoju samorządności w wolnej suwerennej Polsce.



13. Limanowa miasto.



Budynek Starostwa Powiatowego z końca XIX wieku.



14. C.K. Urząd Podatkowy w Limanowej.

¹ Sfragistyka (sfragis-pieczczęć) jest nauką pomocniczą historii mającą za przedmiot wszechstronne badanie pieczęci, jako samoistnego źródła historycznego. Zob. M. Gumowski, M. Haisig, S. Mikucki, Sfragistyka, Warszawa 1960.

² Stampila pieczętka, stempel z nazwiskiem, herbem, firmą.

³ Pismo starosty powiatowego limanowskiego do wojewody krakowskiego z dnia 14 III 1929 roku w sprawie bezużytecznych pieczęci w Starostwie Powiatowym w Limanowej, w: Zbiór pieczęci urzędów państwowych i samorządowych woj. krakowskiego, sygn. III-186, Archiwum Państwowe w Krakowie, (dalej APKr).

⁴ Pismo starosty powiatowego w Limanowej do wojewody krakowskiego z 25 IV 1929 r., sygn. III-186, APKr.

⁵ M. Gumowski, M. Haisig, S. Mikucki, Sfragistyka, Warszawa 1960, s. 18-20.

⁶ Zbiór pieczęci urzędów państwowych i samorządowych woj. krakowskiego, Załącznik nr II strona 1 i 3, Varia 2 III 186, s.1, Varia 2 III 186, s.3, sygn. 186, APKr.

⁷ Katolicka kuchnia wojenna w Limanowej, Pismo z 17 I 1918r., s.173, KUG-2-e; Pismo z 3 XII 1918r., KUG-2-a; Lista rozdzielczej kwoty zapomogowej c.k. Starostwa w Limanowej z 30 IV 1918r., s.26; Sprawozdanie z użycia przyznanych zapomóg przez c.k. Namiestnictwo dla pow. limanowskiego, s.5, KUG-2-c, APKr.

⁸ Pieczęć 14 pochodzi z wezwania płatniczego Jana i Marii Biedroniów z 26 VI 1917 roku, w posiadaniu autora.

Czesław Piotr Górny wicestarosta limanowski

Tomasz Jan Biedroń



Pracownicy Starostwa w Limanowej w 1925 roku na placu pod „Sokołem”. Stoją od lewej: *Walenty Sułkowski, Michał Gnoiński, Michał Dąbrowski, Jan Burchard, Jan Ćwik, Marcin Dąbrowski, ? Wójcik*. Siedzą od lewej: *??, ??, Kazimierz Mieroszewski - lekarz powiatowy, Władysław Olszewski - starosta limanowski, Czesław Górny - wicestarosta, ? Knapik, Anna Bezwińska*.

Nie pochodził z Limanowej, ale poprzez pracę, żonę i stałe zamieszkanie na emeryturze związał się z miastem aż do śmierci. Urodził się w miejscowości Wonorze w powiecie inowrocławskim 31 stycznia 1885 roku, jako syn Józefa i Apolonii z domu Żarnecka. Do 1899 roku zamieszkiwał wraz z rodzicami w Toruniu, gdzie ukończył szkołę powszechną, a następnie uczęszczał do gimnazjum, kończąc III klasę. Gdy wraz z rodzicami przeniósł się do miejscowości Bobrek w powiecie oświęcimskim, to nadal kontynuował naukę w Gimnazjum, ale już w Krakowie, które ukończył w czerwcu 1908 roku, uzyskując świadectwo dojrzałości. Zapisał się wtedy na wydział prawa w Uniwersytecie Jagiellońskim, który ukończył, uzyskując tytuł mgra praw w 1915 roku.¹

Zanim został praktykantem w starostwie limanowskim 30 października 1915 roku, wcześniej pracował w starostwie

krakowskim, jako pomocnik w referacie szkód. Rozpoczął pracę w administracji samorządowej w Monarchii Austro-Węgierskiej, a następnie w II Rzeczypospolitej, stopniowo pnąc się po szczeblach kariery samorządowej. Jego praktyka w limanowskim starostwie trwała przez trzy lata, następnie został mianowany kancelistą, aż wreszcie komisarzem powiatowym (była to funkcja tytułarna). Otrzymał referat przemysłowy, a w 1916 roku wojskowy. Zajmowanie się sprawami wojskowymi, polegało na prowadzeniu ewidencji wojskowej i poborów do wojska. Czynności te wykonywał do października 1918 roku, czyli do zakończenia I wojny światowej. W Limanowej poznał swoją przyszłą żonę Wiktorię z Zubrzyckich, jedną z trzech córek Waleriana Wieniawy-Zubrzyckiego, aptekarza i burmistrza Limanowej przed I wojną światową. Z tego związku narodził się w 1919 roku syn Mieczysław.

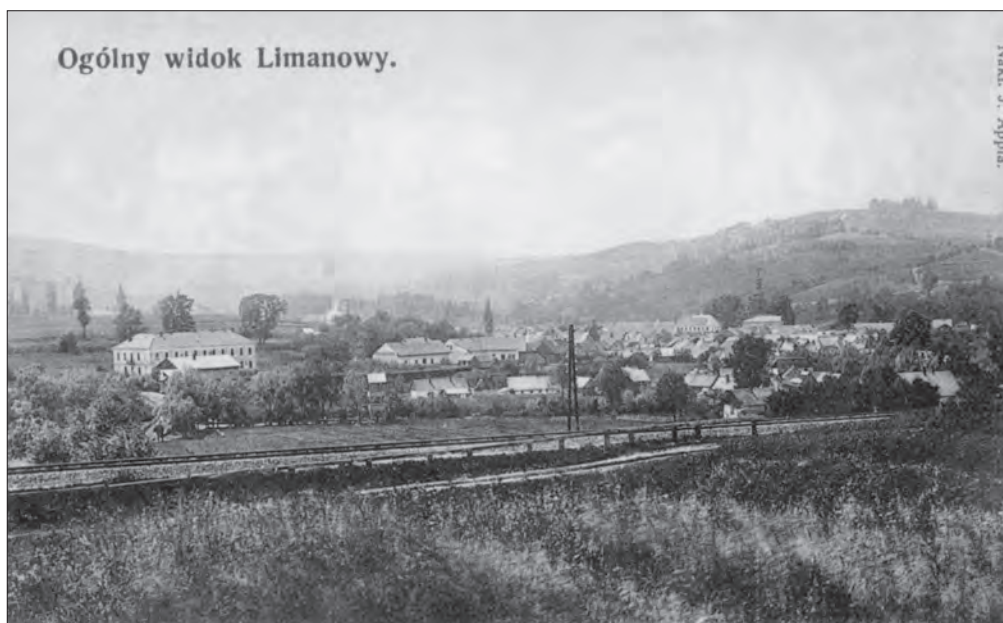
W odrodzonej II Rzeczypospolitej został mianowany wicestarostą limanowskim i prowadził powierzone mu referaty: administracyjny i wyznaniowy obejmujące: korespondencję z konsulatami w sprawach obywatelstwa, lasów, wód, wybory gminne, wybory i obsady Komitetów Parafialnych. Otrzymał stopień urzędnika 8-go stopnia, a następnie tytuł referendarza. Zastępował starostę od jesieni 1919 roku, jako najstarszy służbą urzędnik, aż do przeniesienia na teren województwa kieleckiego w lutym 1929 roku. Jego zastępstwo polegało na zatwierdzaniu w razie nieobecności starosty referatów urzędników, podpisywanie korespondencji, otwieranie poczty i przekazywanie pracownikom spraw do załatwienia.

Kierując sprawami wyznaniowymi, musiał opiniować kandydatów na proboszczów decydując, że starostwo nie widzi przeszkód, aby proponowany ►

▶ przez kurię ksiądz mógł objąć probostwo. Opinię tę uzgadniał z Powiatową Komendą Policji Państwowej, a materiały dotyczące danego księdza znajdowały się do wglądu na policji.

W związku z przeniesieniem w jesieni 1928 roku starosty limanowskiego na inny teren, a jego następcą dopiero objął urządowanie w styczniu 1929 roku, Górnemu powierzono kierownictwo starostwem w tym czasie i wówczas to kierował i załatwiał sprawy bezpieczeństwa i mobilizacji. Mocą jego zarządzenia został rozwiązany „Sokół” w Limanowej, gdyż członkami byli endecy z Narodowej Demokracji. Jednak ówczesny starosta dr Roman Müller uchylił jego zarządzenie. W kwestii bezpieczeństwa na żądanie Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie zbierał informacje odnośnie działalności stowarzyszeń, stronnictw politycznych, działalności popularnych przywódców stowarzyszeń i stronnictw politycznych, sporządzał wykazy stowarzyszeń ze składami osobowymi i wykazy stronnictw politycznych oraz sprawozdania miesięczne dla Wydziału Bezpieczeństwa Urzędu Wojewódzkiego. Informował o ruchach politycznych, społecznych, zawodowych, na podstawie materiału dostarczanego przez Komendę Powiatową Policji Państwowej w Limanowej. Opierał się też na wiarygodnych zaufanych osobach udzielających mu ustnych informacji.

W trakcie pełnienia funkcji wicestarosty musiał się zmierzyć z problemami politycznymi regionu, a zwłaszcza z partiami politycznymi, z których najsilniejszymi na Limanowszczyźnie były: Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast” i Stronnictwo Chłopskie. Na wiosnę 1929 roku PSL „Piast” urządziło w Limanowej wiec prawdopodobnie przedwyborczy. Starosta Juliusz Marosanyi polecił Górnemu, aby nie dopuścił do wiecu.² Po jego wyjeździe Górny wezwał do siebie Komendanta Powiatowego Policji Państwowej w Limanowej Karola Kozdronia celem omówienia z nim sposobu nie dopuszczenia do odbycia się wiecu, ponieważ popierane było Stronnictwo Chłopskie. Komendant zaproponował zbojkotowanie wiecu przez konkurencyjne Stronnictwo Chłopskie. Zadanie polegało na tym, aby zrobić „zadymę” przy drzwiach budynku „Sokoła”, a policja mając na uwadze względy bezpieczeństwa rozwiąże wówczas wiec. Komendant Policji omówił z władzami Stronnictwa Chłopskiego sprawę przeprowadzenia



Budynek starostwa (z lewej) - początek XX wieku.

bojkotu wiecu wyborczego, uzgodniono wspólną akcję. Kiedy więc zeszli się chłopscy zwolennicy „Piasta”, na salę „Sokoła” starali się wtargnąć zwolennicy Stronnictwa Chłopskiego. Z zamieszania skorzystał zgodnie z umową komendant Policji Kozdroń i rozwiązał wiec. Obyło się bez żadnych aresztowań. Po przyjeździe członka Rady Naczelnej i Zarządu Głównego PSL „Piast” Władysława Kiernika i działacza tej partii Narcyza Potoczka z Nowego Sącza, bowiem starosta limanowski wydał ustne zezwolenie organizatorom wiecu, gdy stanęli przed budynkiem „Sokoła” w Limanowej, ktoś poinformował ich o rozbitym wiecu, wobec tego wsiedli do samochodu i odjechali. Całe zajście przed „Sokołem” obserwował przez okno starostwa Górny.

Działaczami społecznymi na szczeblu regionu byli wówczas ludzie wywodzący się ze sfer ziemiańskich, jak Zygmunt Mars - właściciel dworu w Starej Wsi, Aleksander Romer z Jodłownika i Henryk Krasieński z Mszany Dolnej. Praca wicestarosty Górnego, jak pisał w swoim własnoręcznie sporządzonym życiorysie, była tylko wewnętrzna, bo na zewnątrz nie działał nigdzie i w niczym, nie należał do żadnej partii ani też nie pracował społecznie, a to z powodu ciężko chorego syna Mieczysława, którego opiece poświęcał się całkowicie wraz z żoną Wiktorią z Zubrzyckich.

Dzięki protekcji byłego Wiceministra Spraw Wewnętrznych Juliusza Dunikowskiego został w lutym 1929 przeniesiony na teren województwa kieleckiego, gdzie otrzymał pracę w starostwie

korzeckim do czerwca br. w celu przeszkolenia urzędników w sprawach administracyjnych i samorządowych. Od lipca 1929 do stycznia 1931 pracował z kolei w Starostwie w Pińczowie w charakterze wicestarosty, zajmując się sprawami bezpieczeństwa, mobilizacji i wodnymi. Sprawy bezpieczeństwa obejmowały podobnie jak w Limanowej sporządzanie na żądanie Wydziału Bezpieczeństwa Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach miesięcznych sprawozdań też na podstawie informacji Powiatowej Komendy Policji Państwowej w Pińczowie, wykazu stowarzyszeń, politycznych, społecznych i zawodowych. Na polecenie Wydziału Bezpieczeństwa i starosty były też zaciągane informacje ustne u ludzi zaufanych. Nie podał żadnych nazwisk twierdząc, że ich sobie nie przypomina ze względu na czas, jaki upłynął i pracy w wielu miejscowościach. W trakcie pełnienia funkcji wicestarosty w Pińczowie brał udział w wyborach do Sejmu, w trakcie których wybrano posłów z PPS i BBWR. Całą akcją wyborczą kierował osobiście starosta, zaś rola Górnego i innych urzędników polegała na załatwianiu formalności.

W styczniu 1931 roku przeniesiony został do Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, gdzie wpierw pracował jako pomocnik kierownika Oddziału Organizacyjno-Osobowego Józefa Dankowskiego a następnie po objęciu przez Dankowskiego stanowiska inspektora starostw przejął po nim stanowisko. Praca jego polegała na załatwianiu spraw zgłoszonych zastrzeżeń Starostw Grodzkich, osobowych,



Budynek starostwa na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego stulecia.

ewidencji urzędników, urlopów wypoczynkowych, spraw chorobowych, zdrowotnych, przeniesień, mianowań, obsady starostw, dyscyplinarnych, egzaminowania i szkolenia.

Na własną prośbę z powodu choroby syna i dla leczenia u specjalistów został z Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach przeniesiony w lipcu 1935 roku na referenta do Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie do referatu karno-administracyjnego w Starostwie Grodzkim w Krakowie, w którym pracował do 7 grudnia 1935, gdyż 8 grudnia zachorował na angina pectoris i po wykorzystaniu urlopów dla poratowania zdrowia, wobec nie polepszenia się stanu zdrowia przeniesiony został na emeryturę z dniem 31 sierpnia 1936 roku, jako w 95% niezdolny do pracy. Będąc emerytem, wyjechał 15 września 1936 roku wraz z rodziną na stałe do Limanowej, do domu żony Wiktorii. W tym czasie starostą limanowskim był Ludwik Malkowski, wicestarostą Jackowski, a po nim mgr Józef Gacek. Po Malkowskim funkcję starosty objął dr Stanisław Nowak i pełnił ją do wybuchu wojny.³ Górny jako emeryt nie należał nadal do żadnej partii politycznej, nie angażował się w konspirację w czasie okupacji, nie brał też udziału w życiu politycznym po II wojnie światowej, zajmując się wyłącznie wraz z żoną

obłożnie chorym synem, który zmarł w wieku 35 lat przeżywszy ojca o 3 lata.

Jako byłym starostą limanowskim zainteresował się Górnym PUBP w Limanowej. Został wezwany 5 i 6 grudnia 1950 roku i przesłuchany w charakterze świadka przez oficera śledczego ppor. Augustyna Horwacika. Pobierał wówczas emeryturę w wysokości 285 złotych, mając na utrzymaniu żonę oraz przewlekle chorego syna Mieczysława. W trakcie pobytu w PUBP w Limanowej 6 grudnia 1950 roku napisał własnoręcznie życiorys, który stał się podstawą niniejszego tekstu jemu poświęconemu.

Zmarł 20 września 1951 roku w Limanowej i spoczął na cmentarzu parafialnym.

Zachowało się kuriozalne pismo starszego referenta Powiatowej Delegatury ds. BP chorążego Władysława Gatki, który w piśmie z 14 X 1955 r informował Kierownika PD ds. BP ppor. Jana Bądka, że „rozpatrzywszy materiały dotyczące Górny Czesław w/w przed wojną tj. 1939 rokiem pracował w starostwie, a następnie pełnił stanowisko starosty powiatu Limanowa, który obecnie nie przejawia wrogiej działalności”.⁴ Toteż nie może dziwić kolejne pismo tym razem z KWMO w Krakowie z 14 IV 1966 z zapytaniem o aktualny adres i miejsce pracy Czesława Górno.⁵

Czyżby PUBP i SB nie wierzyły w śmierć Czesława Górno?

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”

¹ Czesław Górny, Życiorys, Limanowa 5 XII 1950, s. 10-12; Protokół przesłuchania podejrzanego Górno Czesława przez oficera śledczego PUBP w Limanowej Horwacika Augustyna, Limanowa 5 XII 1950, s.2-6, Górny Czesław, 010/2743, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie (dalej IPNKr).

² Juliusz Marosanyi (Marosayi) przybył do Limanowej w IV-V 1926 roku, jako zaufany PSL „Piaś”. Poprzednio był zastępcą starosty w Nowym Sączu. Swoim taktownym zachowaniem nie zrażał do siebie żadnych stronnictw politycznych i dlatego nie było żadnych tarć politycznych. Uchodził za wzór pracowitości był taktowny wobec pracowników. Pracował w starostwie bardzo dużo zajmując się sprawami bezpieczeństwa, mobilizacyjnymi i społecznymi.

³ Protokół przesłuchania świadka Górno Czesława przez Horwacika Augustyna ppor. oficera śledczego PUBP w Limanowej z 6 XII 1950, 010/2743, IPNKr, s.8-9. Według C. Górno Ludwik Małkowski miał pracować w 1945 roku w Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie, zaś mgr Józef Gacek pracował w WRN w Krakowie i nawet był na inspekcji w starostwie limanowskim.

⁴ Górny Czesław, 010/2743, IPNKr, s.1.

⁵ Tamże.

„Coś na kształt ciągu dalszego”

W wakacyjnym numerze „Echa Limanowskiego” (nr 238-239, lipiec- sierpień 2014 r.) ukazał się artykuł Stanisława Jacka Kołodziejczyka zatytułowany *Czy mamy jeszcze „domy polskie” i rodzimy krajobraz*. Natchnieniem dla autora tego szkicu były motywy wynikające z dwóch artykułów prezentowanych wcześniej na łamach naszego dwumiesięcznika: „Willa Zacisze w Limanowej” – Wojciecha Leszka Pilawskiego i „To, co minęło, powraca” – Sławomira Łuźnego, w których przedstawiona została nagrodzona fotografia Zbigniewa Sułkowskiego, z konkursu ogólnopolskiego ogłoszonego przez Instytut Książki oraz Wydawnictwo Czarne, wydające książki Stasiuka. Konkurs ów inspirowany był wydawnictwem Stasiuka, *Nie ma ekspresów przy złotych drogach*.

Wspomniany numer „Echa” zawędrował do Bratysławy i trafił do rąk znanego kompozytora Romana Bergera skołigaczonego z rodziną Kołodziejczyków przez żonę Jacka, Elżbietę.

Pokłosem tego wydarzenia jest list Romana Bergera do Stanisława Jacka Kołodziejczyka, w którym kompozytor

pisze, dzieląc się wrażeniami o czasie przemijania, tak ważkim problemie, w którym gubi się wartości wynikające z rodzimego, polskiego krajobrazu. Treści te, jak sam autor zauważa, mogą mieć, „Coś na kształt ciągu dalszego – dopełnienia”, do rozważań przedstawionych przez Jacka Kołodziejczyka w przytoczonym „Echu Limanowskim”.

Dlatego redakcja „Echa” postanowiła opublikować obszerniejsze fragmenty z listu osoby o uznanym autorytecie w świecie artystycznym, o wielkiej wrażliwości, aby raz jeszcze z wielką mocą zwrócić uwagę na to, co złego dzieje się aktualnie w krajobrazie polskim.

Pisała również o tym na łamach „Echa” dr hab. Monika Bogdanowska, związana z krakowskim środowiskiem konserwatorów zabytków, wyrażając życzenie, aby w krajobrazie rodzimym zmiany zachodziły zgodnie z rytmem najlepszych polskich tradycji, a nie byle jakiej, obcej komercji.

Stanisław Ociepka



Nagrodzona fotografia Zbigniewa Sułkowskiego.

(...) Pragnę wyrazić wdzięczność głęboką, za całą, tak niezwykłą przesyłkę; i tu nie jestem pewien, czy uda mi się choć w przybliżeniu sprostać zadaniu. Bo chciałoby się zaraz na początku zastąpić ten, jakże banalny wyraz „przesyłka” jakimś słowem bardziej odpowiednim. Wpadło mi na myśl jedno, też wprawdzie obieguje,

ale jednak – tak mi się wydaje – lepsze, bo nie z martwym przedmiotem („przesyłką”), a z życiem związane, z jego przyjazną, „przychylną” stroną: bukiet. Więcej: ta „przesyłka” to bukiet podwójny, właściwie potrójny! Nie chcę bluźnić, więc nie powiem wprost („po śląsku”, „po łopacie”): potrójny tak, że zachowujący jedność.

Odsłaniający trzy aspekty tej jedności: *Primo*: „bukiet rzeczowy”, złożony z różnego rodzaju tekstów - gatunków literackich (od jak najbardziej osobistego listu, przez inne Twoje teksty, dokumentację Twego spotkania, artykuły i fotosy w „Echu Limanowskim” – po esej Andrzeja Stasiuka).



Willa „Zacisze” w Limanowej. Fotografia Wojciecha Leszka Pilawskiego.

Secundo: „bukiet tematyczny”, wiążący te „różnobarwne” teksty, nota bene sam spleciony jak warkocz z wątków, idei, wartości, pryncypiów.

Tertio: „bukiet duchowo – psychiczny”, skomponowany z takich „kwiatów” jak „Wiara, Nadzieja, Miłość (z których „największa jest Miłość” oraz takich, jak intuicja, imaginacja, inteligencja, intelekt, kompetencja i refleksja (w Heideggerowskim sensie – jako zdolność „myślenia – krytycznego”, własnego myślenia – spontanicznego, powszedniego).

Teraz wpadło mi do głowy, że „bukiet” można by zastąpić innym jeszcze, no i jeszcze bardziej, do istoty rzeczy zbliżonym pojęciem: witrażem, tym bardziej, że w swym tekście – majstersztyku mowa o witrażach Wyspiańskiego! Witraż: przez jego wielobarwne fragmenty, integralną całość tworzące, całość przemawiającą do naszej duszy, przenika światło, dokonujące przemienienia obrazu w symbol, „głębię duszy” z „Głębią” – „Otchłanią” Bytu Stworzonego jednoczący.

Nawiedziło Cię to światło przy pisaniu studium - eseju - poematu „Czy mamy jeszcze domy polskie i rodzimy krajobraz?”. Jest w tym tekście i rygor

naukowca, i erudycja eseisty, jest wrażliwość i wyobraźnia artysty. Ale jest też to tak ważne „intymne” odniesienie do osobiście przeżywanych (nie tylko uświadamianych) wartości, wcielonych – „pars pro toto” – do „Bochenkówki” i więzi rodzinnych. Dziadek, kierownik pociągu na linii Kraków- Lwów (tu kojarzy się oczywiście „historia Lwowa”...) jakby jechał w tym Stasiukowym „ekspresie” na fenomenalnym zdjęciu Zbigniewa Sułkowskiego. Jakby wracał do swego „domu polskiego” na Bochenówce, domu swą tak spokrewnionego zarówno z „Willą Zacisze” jak z tymi chatami „wzniesionymi zgodnie z naturą polskiego nieba” na zdjęciu.

Pod tym samym niebem zatrzymał się człowiek „z rozumnym, szlachetnym zwierzęciem”, który po pracy, po złożeniu z archaicznego wozu nawozu, roztrzęsieniu go po tej niezbyt urodzajnej glebie (by bardziej urodzajną się stała), wróci do chałupy przytulonej do ziemi pod lasem.

Nie widzimy jego twarzy, ale Twoja empatia, jaką nasyciłeś całą interpretacją obrazu, empatia wyrażająca świadomość przemijania, sugeruje, że i w tej odwróconej od nas twarzy owa podstawowa

świadomość jest obecna. Ten anonimowy „nieznany bohater” obrazu przeżywa wobec nadjeżdżającego pociągu taką samą, jak nasza bezsilność- bezradność. Pociąg w centrum obrazu staje się symbolem „postępu” – jakże dwuznacznego!

Jest więc w tej interpretacji ton Hiobowskiego wręcz buntu przeciw zwyrodniałym tegoż „postępu” przejawom; tu podajecie sobie z Andrzejem Stasiukiem dłoń, a ja z oddali ściskam Wasze dłonie.

Nie sposób wydobyć tu i podkreślić wszystko to, co mnie w Twym tekście do głębi porusza. Zmusza on wręcz do zadawania sobie podstawowych pytań. Pytań „intymnych”. Na przykład: Jak to było w mym tak bardzo już długim życiu z tym „polskim domem”? Jak było z „krajobrazem” – tym „rodzimy” w... Bratysławie? Jak z „polskim niebem”? By choć z grubsza odpowiedzieć, musiałbym życiorys naszkicować. Pójdę na skróty.

Nasze mieszkanie (służbowe Ojca) w Czeskim - w roku 1938-39 Zachodnim – Cieszynie, w willi z „Willą Zacisze” nie mającej architektonicznie nic wspólnego, było jednak „polskim domem” do tego stopnia, że niepolskie władze dwukrotnie (1940, 1952) nas zeń wyгнаły. ▶

► Chałupa dziadków Bielów w Ropicy „na Oblaskach”, 300-letnia, podobna była (myślę) do tych chałup na lewo pod lasem na zdjęciu pana Sułkowskiego. „Izba” i „izbeczka” „na przedniej stronie”, „kuchynia” i „chlyw” – na „zadniej stronie”. W izbie na stoliku Biblia, „kozaniówki”, „postylle” (*zbiór kazań objaśniających i komentujących w sposób popularny fragmenty Biblii*) i „kancynoły” (*kancjonały - śpiewniki*) – oczywiście wszystko polskie. Ciocia Marynka i Milka miały w izbeczce biblioteczkę z: Konopnicką, Rodziewiczówną, (chyba komplet), „Lalkę”, „Trędowatą”, ale i Sienkiewicza itd. Na strychu sterty czasopism – nie tylko kościelnych, bo były też fascynujące „Na szerokim świecie” (o ile się nie mylę). Po kryjomu (o wojnie mowa) wymiana książek z bliskimi – zaufanymi. Co kilka dni przychodził wieczorem sąsiad Paweł Niedoba z wiadomościami z BBC – radio miał gdzieś ukryte (za to była kara śmierci). Strasznie się jąkał, ale „wiadomości dobre, czy złe, lecz zawsze prawdziwe” były ważne, bo podsumowywał je rytualnym: „Totototo juuuuz dłuuuuugo nnnnie bebebedzie!” (długo nie będzie) (...).

(...) W moim rozumieniu nawiązuję do Twojego cytatu z książki dr. Mieczysława Rokosza. „Na szanicach (mej) pamięci” „dom polski” jest – pojawia się zawsze i wszędzie tam, gdzie błysnie iskra Dobra, Prawdy i Piękna – i Sprawiedliwości – polską tradycją zabarwiona. A „polskie niebo” przylatywało w każdym liście z Krakowa i Wieliczki, z Cieszyna i Katowic, z Warszawy, Poznania i Łodzi (pars pro toto). „Potwierdzałem odbiór” tego „nieba” i „rodzimego krajobrazu” i „domu”, pisząc listy. Niesamowicie wielką część życia spędziłem na pisaniu listów do Polski. Bo z wyjątkiem Wieliczki każde z wymienionych miast, to szereg adresów (nie mówiąc o tym, że każde wykonanie utworu czy każdy referat to korespondencja). No i „potwierdzałem ten odbiór”, komponując (od czasu do czasu – via facti). Między innymi na przykład „De profundis” do słów Tadeusza Różewicza, „Monolog dla Kasandry” do Szymborskiej, „Improvisation sur Herbert”. Albo „Korczak in memoriam” czy „Adagio dla Jana Brannego” (przyjaciele z czasów wojny, z Ropicy, który w roku 1952 po monstre – procesie ocknął się w kopalniach uranu w obozie koncentracyjnym w Jachymowie, a po amnestii 1960 pracował w hucie trzynieckiej i zmarł na raka).

I tu chcę jeszcze powiedzieć, że te „pod słowackim niebem” powstające utwory – listy czy listy – utwory wpisywały się w jakiś cudowny sposób w „polski krajobraz” (muzyczny, kulturowy).

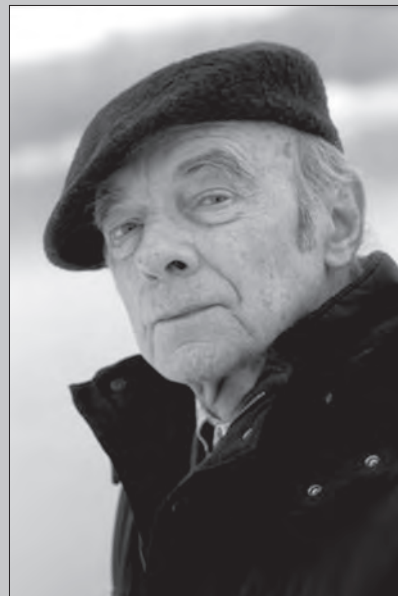
Byłbym cholernie niesprawiedliwy gdybym tu – paradoksalnie – nie stwierdził, że to „polskie niebo” pojawiało się również nad „słowackim krajobrazem” i w „słowackich domach”. I tutaj spotkałem ludzi szczerze życzliwych, dających tej życzliwości konkretne kształty, podejmujących niekiedy nawet – jeżeli nie ryzykowne, to z pewnością niekomfortowe – decyzje na moją korzyść; ludzi bez uprzedzeń etc. Co więcej: ludzi takich spotkałem również w Pradze czy w Brnie, darzących nas – mię autentyczną sympatią i przyjaźnią.

Suma summarum: Twój „bukiet”-„witraz” wywołał u mnie refleksje nad sprawami istotnymi. Podzielał więc inspirująco. A stało się tak dzięki temu, że jest po prostu znakomity!

W liście Romana Bergera została zachowana oryginalna pisownia autora.

Wyrażam podziękowanie p. Jackowi Kołodziejczykowi za pomoc przy opracowaniu tekstu.

Stanisław Ociepka



Roman Berger – Jeden z najwybitniejszych kompozytorów polskich ze śląskiego kręgu W. Kilara, W. Szalonka, H. M. Góreckiego oraz W. Lutosławskiego, niezłomny filozof, badający współczesną kulturę oraz myśliciel silnie związany z przekazem kościoła ewangelickiego. Żyje i tworzy pomiędzy dwoma kulturami: rodzimą polską i słowacką. Urodził się w 1930 r. w Cieszynie, po którego podziale dom rodzinny państwa Bergerów w Ropicy znalazł się po stronie Czeskiej. Rozpoczął studia w PWSM w Katowicach. Jednakże w 1952 r. czeskie służby specjalne wydały jego rodzinie nakaz opuszczenia ziemi rodzinnej i osiedlenia się na Słowacji. Powodem była postawa patriotyczna ojca kompozytora, ks. prof. Józefa Bergera, zasłużonego biskupa i superintendenta polskiego kościoła ewangelickiego na Śląsku Cieszyńskim, więźnia obozu Auschwitz. Tak też Roman Berger studia muzyczne ukończył jako kompozytor i pianista w Słowackiej Akademii Muzycznej w Bratysławie.

Od 1969 r. wykładał w katedrze teorii muzyki i pełnił funkcję sekretarza Związku Kompozytorów Słowackich. Zawsze zajmował nieprzejednaną postawę etyczną, podejmując otwarcie krytykę ideologii komunistycznej. Został na Słowacji uznany za dysydenta i usunięty ze Związku Kompozytorów. Przez 9 lat pozostawał bez pracy. Wspierany był wówczas ważnymi wyróżnieniami i nagrodami kompozytorskimi, a w 1980 r. uhonorowany został Nagrodą im. Herdera Uniwersytetu w Wiedniu.

Prof. Roman Berger był jednak cały czas zwrócony ku kulturze i muzyce polskiej. Od tego czasu zaczęły pojawiać się wykonania jego muzyki w Katowicach i w Warszawie. Wydarzeniem stał się koncert kompozytorski Romana Bergera w 1995 roku w Sali Hołdu Pruskiego w Sukiennicach w czasie 7. Międzynarodowych Dni Muzyki Kompozytorów Krakowskich.

Walny Zjazd Związku Kompozytorów Polskich nadał Romanowi Bergerowi honorowe członkostwo.

Jerzy Stankiewicz
Prezes Krakowskiego Oddziału Związku
Kompozytorów Polskich

Ulica 19 Stycznia

Jan Wielek

Po krótkiej przerwie, spowodowanej dłuższym pobytem na Rynku, powracamy do historycznych spacerów po ulicach Limanowej. Tym razem zapraszamy na ulicę noszącą dla wielu tajemniczą nazwę: „19 stycznia”. Do symbolicznego spaceru po tej krótkiej, położonej na wschodnich peryferiach miasta ulicy zapraszam nie tyle z powodu pory roku i zimowego miesiąca – stycznia, ale głównie z powodu zakodowanego w jej nazwie ważnego dla miasta wydarzenia – wyzwolenia miasta spod okupacji hitlerowskiej. A stało się to właśnie 19 stycznia 1945 r. Mija zatem 70. rocznica tego historycznego wydarzenia.

Rozpoczęta 1 września 1939 r. II wojna światowa dla Limanowej, podobnie jak i dla innych miejscowości w Polsce, to jeden z najgorszych okresów w 400-letnich dziejach miasta. Pisaliśmy o tym dużo na łamach „Echa Limanowskiego”, ale przypomnijmy najistotniejsze fakty: Niemcy wkroczyli do Limanowej 5 września 1939 r., nieco później zaczęła się straszna w skutkach okupacja hitlerowska. Terror, aresztowania, zsyłki do obozów, przymusowe roboty na terenie Rzeszy, przymusowe kontyngenty żywnościowe ograbiające okolice ze zbiorów i bydła powodujące w efekcie powszechny głód. Zbiorowe egzekucje na ludności polskiej w Starej Wsi, Rdziostowie koło Nowego Sącza. Założenie getta żydowskiego i likwidacja prawie połowy mieszkańców miasta (Żydów rozstrzelano w masowych egzekucjach w Mordarce, Starej Wsi, przy ul. Kilińskiego, na Przylaskach). Strach przed łapankami, odwet za coraz bardziej rozwijającą się

zbrojną działalność partyzantki i patriotycznego podziemia, to obraz tamtych okrutnych lat okupacji.

Nic więc dziwnego, że ludzie czekali na każdą wiadomość o nadciągającej od Wschodu wolności. Mój ojciec – Józef Wielek, wtedy dwudziestoletni cywilny robotnik w niemieckiej, wojskowej bazie paliw, dawnej rafinerii nafty w Sowlinach wspominał po latach: *Od połowy lipca 1944 r. docierać do nas zaczęły pierwsze odgłosy toczących się na wschodzie walk. Byłem na odpuscie w Kaninie, który odbywał się tradycyjnie 22 lipca 1944 r. Staliśmy w ciżbie, w kościele. Od wschodu słyhać było huk dział, tak, że bez przerwy dzwoniły szyby w oknach. Głoszący kazanie ksiądz Rachwał, brat naszego wikarego z Limanowej, ks. Jana, wołał, że to wolności są głosy i że już ostatni raz w takich warunkach odbywa się odpust w Kaninie.*

Przez Limanową, ze wschodu na zachód, poczęły przejeżdżać transporty

samochodowe i konne z uciekinierami, tym razem niemieckimi oraz z zagrabionym na wschodzie mieniem. Transporty takie odbywały się również koleją. W bazie zaczęto rozmontowywać urządzenia po byłej rafinerii nafty, które pakowano na wagony i wysyłano w kierunku zachodnim. Po kilku jednak dniach wszystko ustało.

W pobliżu mej pracy w barakach mieszkali chłopcy pochodzący od Stanisławowa (obecnie Iwano Frankiwska na Ukrainie – przyp. red.) z organizacji Todt (Organizacja ta miała za zadanie budowę obiektów wojskowych, a po 1943 r. podczas wycofywania się wojsk niemieckich niszczyła obiekty przemysłowe – przyp. red.) Mieliliśmy z nimi kontakt i od nich dowiedziałem się o powstaniu rządu polskiego w Lublinie i o zmianach, które ten rząd wprowadza. Wiadomości były zawsze świeże, bo nadzorujący ich żołnierze z Todt posiadali odbiorniki radiowe i słuchali komunikatów z Moskwy i Londynu. Żołnierzami tymi byli przeważnie: Ślązacy, Słowacy i Czesi. Było też kilku Austriaków. Z nimi, o ile kto umiał po niemiecku, można było rozmawiać o wszystkim. W dniu 2 sierpnia mieliśmy już wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie. Wiadomości, chociaż bardzo skąpe i przekręcane, podawała prasa i radio okupacyjne.

W mieście i okolicy sytuacja powróciła do normalnej, okupacyjnej atmosfery.



Fragment spalonej pierzei rynku. Widoczna rozciągnięta kolumna jadących konno czerwoonoarmistów z charakterystycznymi workami na żołnierski dobytek.

Ustały jedynie łapanki i wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Z miasta ewakuowała się też znaczna część wojska niemieckiego, stacjonująca tu jako osłona wojskowej bazy paliw w Sowlinach.

Ze znaczących, nie praktykowanych przedtem zjawisk, były prowadzone przez Niemców na polach dworskich ćwiczenia ze strzelania. W rejonie wzmożła się również działalność oddziałów partyzanckich, szczególnie radzieckich. Z wypadków szczególnie ważnych dla miasta odnotujemy śmierć i pogrzeb wieloletniego i wielce zasłużonego dla miasta proboszcza i budowniczego naszego kościoła, ks. prałata Kazimierza Łazarskiego. Wtedy to okupacyjne władze niemieckie zezwoliły na użycie dzwonów kościelnych, co w czasie okupacyjnym było zakazane. O tyle to również jest ważne, iż wiszące wtedy na kościelnej wieży cztery limanowskie dzwony zostały skonfiskowane i jako materiał potrzebny do produkcji nowych wojennych pocisków przepadły w wojennym teatrze absurdu. Podobny los spotkał również dwa dzwony z kościoła w Łososinie Górnej – ocalał tylko zabytkowy „Andrzej” odlany w 1520 r. Zarządzono zbiórkę i konfiskatę wszelkiego złomu miedzianego i mosiężnego.

W Szkole Powszechnej w Limanowej zdążono rozebrać i złożyć w skrzyniach nowe, metalowe okucia stolarki, które ukrył woźny szkolny Jan Wójcik.

Święta Bożego Narodzenia 1944 r. minęły stosunkowo spokojnie. W Sylwestra pozostający jeszcze w mieście żołnierze niemieccy urządzili na Jabłońcu wielką, propagandową strzelaninę „na wiwat”. Odpowiedzią były podobne kanonady w wykonaniu stacjonujących w okolicznych górach oddziałów partyzanckich.

W sychłowym okresie okupacji ustały wywózki na przymusowe roboty do Niemiec, nastał jednak bardzo dotkliwy, tak dla mieszkańców Limanowej, jak i okolicznych wsi nakaz przymusowej pracy przy kopaniu okopów i innych umocnień. Wyznaczonych robotników gromadzono rano na stacji kolejowej, skąd pociągami dowożeni byli do Marcinkowic, i tu w grupach rozprowadzani byli w rejon Tęgoborzy, Łososiny Dolnej, Chełmca. Umacniana była linia obronna na linii doliny Dunajca. Przymusowi robotnicy wywożeni byli też w rejon Krynicy i Muszyny, gdzie skoszarowani pracowali przy budowie okopów na linii Popradu.

Od wschodu zbliżał się front: *W drugim tygodniu stycznia 1945 r.* – pisze

w swych wspomnieniach Józef Wielek – *wśród Niemców pojawiło się jakieś napięcie i niezwykle ruch. Wzmogli czujność i pogotowie. Można już było swobodnie chodzić do miasta, bo nikogo się nie czepiali. Do Limanowej zaczęły przybywać formacje, których przedtem nie było. W pierwszych dniach drugiej dekady stycznia na wschodzie odezwały się działa. Czuliśmy, że to już coś się zaczyna. W następnych dniach, bez przerwy, słyszeliśmy dudnienie dział i wybuchy. Na drodze od Nowego Sącza pojawiły się kolumny uciekinierów. Jechali wozami konnymi i samochodami.*

Wybuchy te były coraz głośniejsze i coraz bliższe. Jednego dnia (18 stycznia 1945 r. – przyp. red.), rano, usłyszeliśmy niesłychany dotąd huk, że zadrżały szyby w oknach. Później dowiedzieliśmy się, że został wysadzony zabytkowy zamek w Nowym Sączu, gdzie Niemcy zmagazynowali wielkie zapasy materiałów wybuchowych.

Wycofujący się hitlerowcy wysadzili mosty na Dunajcu oraz prawie wszystkie na linii kolejowej Chabówka – Nowy Sącz – w Mordarce, Łososinie Górnej, Tymbarku i Dobrej.

Wysadzono też główny budynek stacji kolejowej w Pisarzowej – pozostał drugi, mieszkalny, który później pełnił rolę stacji. Została wysadzona stacja kolejowa w Limanowej wraz z urządzeniami rządowymi i wieżą ciśnień, zaopatrującą w wodę parowozów. Podobny los spotkał stacje kolejowe w Tymbarku, Rabce – Zaryte, wysadzony też został główny budynek stacji węzłowej – Chabówka. W Limanowej podminowany został nowy budynek szkoły powszechnej, pełniący w czasie okupacji rolę koszar dla wojska stacjonującego w bazie paliw w Sowlinach. Niemcy nie zdążyli już tego wykonać.

Późnym popołudniem 19 stycznia 1945 r. od strony Pisarzowej do miasta zaczęły się zbliżać pierwsze piechote oddziały Armii Czerwonej. Byli to żołnierze 38. armii gen. Kiryłła, wchodzącej w skład 4. Frontu Ukraińskiego gen. Iwana Pietrowa. Oddziały te sforsowały Dunajec poprzez ocalały most w Kurowie i nacierały w kierunku zachodnim dwoma odnogami: doliną Smolnika i Łososiny. W wyniku działań bojowych spłonął zabytkowy dwór w Mordarce, wówczas własność Izydora Gibasa. Nikt nie zginął, ale spłonęło całe zabytkowe wyposażenie z cennymi zbiorami sztuki.

Niemcy uciekali grupami, trzymając się bocznych, często polnych dróg.



Resztki ganku z balustradą tralkową dworu w Mordarce.

Główna szosa z Nowego Sącza przez Wysokie była pusta. Po niebie ciągle krążyły radzieckie myśliwce, ostrzeliwując te kolumny. Kilkakrotnie ostrzelane zostało również miasto Limanowa, podziurawiony wtedy został dach na kościele i pokryty miedzianą blachą hełm wieży. Przechodzący przez Siekierczynę oddział niemiecki śmiertelnie postrzelił Józefa Mruka. Inni Niemcy, wycofujący się z Limanowej drogą przez Lipowe zabili dwóch chłopców: Jana Bulandę i Jana Szewczyka.

Wkraczający do miasta żołnierze radzieccy nie spotkali się z żadnym oporem. Odbyło się to bez walk, jedynym poważnym incydentem był wspomniany pożar dworu w Mordarce. Do tragedii doszło w nocy z 19 na 20 stycznia, kiedy to, z niewyjaśnionych bliżej powodów, spłonęła zabytkowa, drewniana północna pierzeja Rynku. Pisaliśmy obszernie o tym w poprzednim numerze „Echa”.

Do walk doszło jednak w dolinie Łososiny. W rejonie Młynnego, na tzw. „Gwizdówce” zginęło 11 Niemców, zaś 22 na tzw. „Cisnem”. Cztery osoby zginęły od eksplodującego pocisku artyleryjskiego w Łososinie Górnej, inny pocisk poważnie uszkodził budynek szkolny w Młynnym. W rejonie tej wsi zestrzelony został radziecki samolot myśliwski, poległych pilotów pochowano w Laskowej.



Budynek stacji kolejowej w Limanowej zniszczony przez wycofujące się wojska niemieckie.

Pomimo, iż w rejonie centrum miasta nie prowadzono żadnych walk, Limanowa była bardzo okaleczona i nastroje były ponure. Cytowany już wcześniej Józef Wielek notował: *Rano, 20 stycznia liczna część ludzi ze wsi poszła do miasta oglądać „wzbawicieli”. Całe miasto pełne było pojazdów i wojska. Żołnierze chętnie z nami rozmawiali, lecz nie zatrzymywali się długo i szli w stronę Tymbarku. Widok miasteczka był smutny - cała północna część rynku podpalona przez nieuwagę żołnierzy radzieckich dymiała, napełniając uliczki smędem. Po pogorzelisku włączyli się mieszkańcy Limanowej i okolicznych wiosek. Na placu rynku stały samochody wojskowe oraz wozy konne, konie gryzły się i kwiczały. Wszędzie byli żołnierze gotujący jedzenie na paleniskach ułożonych z cegieł wyciągniętych z gruzów spalonych budynków i na nich podgrzewali puszki z konserwami. Palili resztkami ocalałego drewna z pogorzeliska oraz rozbijali ocalałe z pożaru meble. Chociaż nienawidziliśmy Niemców, musieliśmy przyznać, że u nich panował inny porządek. Ja, z kilkoma kolegami, poszedłem na stację kolejową.*

Z budynku stacyjnego stała tylko część murów. Wszystkie zwrotnice i urzędnice zostały wyminowane. Peron i plac przed stacją był zasypany papierami, które wiatr roznosił na okoliczne pola. Limanowska kolej była nieczynna aż do kwietnia.

I jeszcze jeden, może niezbyt ważny, ale charakterystyczny dla tych dni wypadek. Wojsko nakazało największej wtedy w mieście piekarni Wojsa wypieczenie z dostarczonej mąki odpowiedniej ilości chleba dla żołnierzy. Ponieważ nie było opału, rozebrano drewnianą skocznnię narciańską, stojącą na tzw. „Siwym Brzegu”.

W Limanowej szybko ujawniły się konspiracyjne struktury władzy zorganizowane jeszcze za czasów okupacji. Starostą został mianowany Pełnomocnik Rządu Londyńskiego – dr Adam Mamak, politycznie reprezentujący Polskie Stronnictwo Ludowe „Roch”. Mianował on wójtów i burmistrzów – wójtem gminy Limanowa został Wincenty Gawron, zaś burmistrzem miasta Tomasz Bieda, pełniący tę funkcję w okresie międzywojennym. Powiatowym komendantem policji mianowany został kapitan AK – Zygmunt Joniec, ps. „Zyg”, zaś komendantem posterunku w Limanowej plut. Stanisław Halota.

Na te, ustalenia jeszcze w czasie okupacji, nałożyła się jednak nowa sytuacja polityczna.

W mieście pojawił się oddział NKWD, składający się początkowo z oficera w stopniu kapitana i pięciu żołnierzy. Usadowili się w budynku należącym wówczas do parafii, stojącym przy ulicy Krakowskiej (dzisiaj Jana Pawła II). Wkrótce, jednostka ta wzmocniona

zostaje 13 funkcjonariuszami przybyłymi z Mszany Dolnej. Obejmują oni faktyczną władzę w mieście i powiecie. Wydają szereg rygorystycznych zarządzeń - m. in.: oddania broni i amunicji, a także udział w przymusowych robotach publicznych.

Zaczęły obowiązywać nowe porządki, które później określano „czasami stalinowskimi”. To już temat na inną opowieść – zaznaczamy tylko, iż aresztowany został starosta powiatowy – Adam Mamak (zastąpił go Franciszek Rześniewski), wkrótce też utworzono Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, który przejął pełnię władzy w mieście i powiecie limanowskim.

Smutną pamiątką tych czasów jest urządzony w 1948 r. cmentarz żołnierzy radzieckich, na Jabłońcu (po stronie lewej jadąc od Limanowej) W czterech zbiorowych mogiłach pochowano 203 żołnierzy poległych w styczniu 1945 r. w walkach na terenie powiatu limanowskiego oraz 32 jeńców wojennych i partyzantów radzieckich.

Fotografie: arch. albumu „Okrucy pamięci”



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Chroń to co ważne

UBEZPIECZENIA

- majątkowe
- komunikacyjne
- osobowe
- na życie



warta.

 **CONCORDIA**
UBEZPIECZENIA

COMPENSA 
VIENNA INSURANCE GROUP

InterRisk 
VIENNA INSURANCE GROUP

HDI **ERGO**
HESTIA®

TUZ
UBEZPIECZENIA

 **GENERALI**
Ubezpieczenia


MOJE TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ S.A.
GRUPA ERGO HESTIA

Oferta dostępna w naszych placówkach

zobacz więcej na www.bs.limanowa.pl





P O S A D Z K I P R Z E M Y S Ł O W E

posadzki przemysłowe

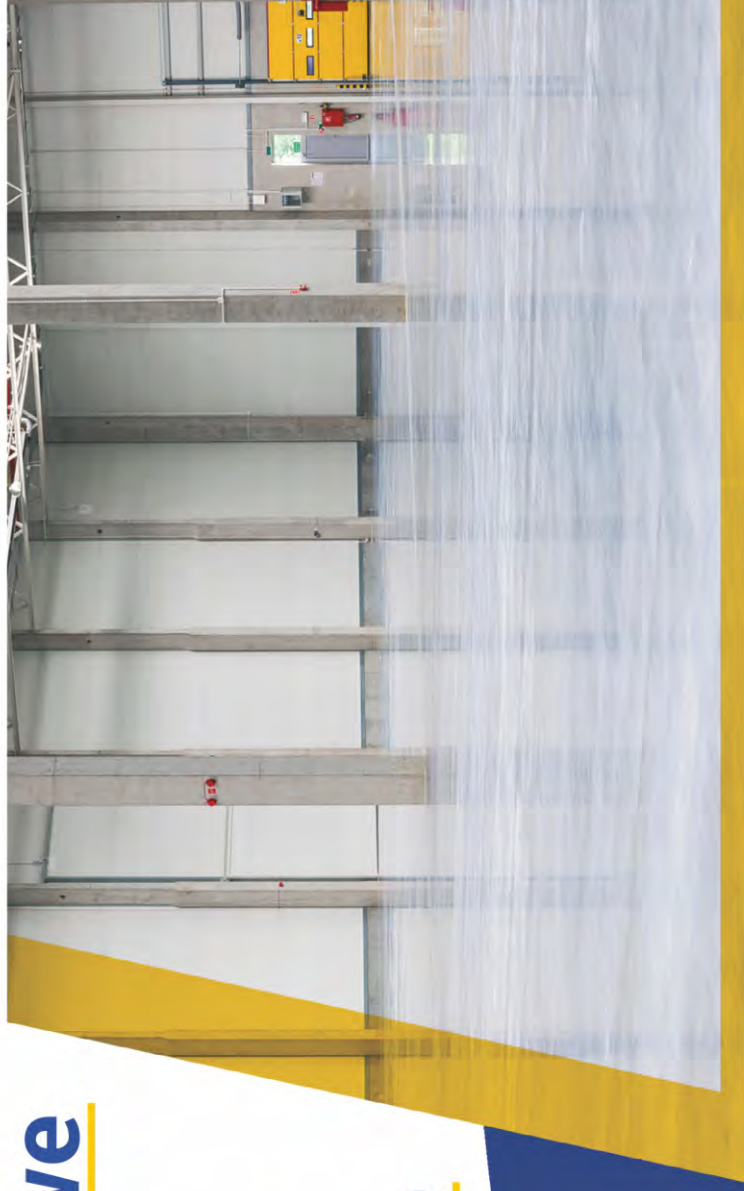
żywice epoksydowe

wylewki anhydrytowe

tel. 604 580 196

604 426 516

18 33 75 977



biuro@posadzka-przemyslowa.pl
www.posadzka-przemyslowa.pl